Numer 1. Nałeż. poszt. opł. gotówką. Dnia 1 Stycznia 1933




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.



Za zmianę adresu należy się 40 groszy.



### U sędziego.

Sędzia: Czego sobie życzycie?

Grzybek: Panie sędzio, mój sąsiad obraził mię ciężko, więc go muszę skarżyć.

Sędzia: A jakże was sąsiad obraził?

Grzybek: Powiedział mi »żeby cię psy zjadły!«

Sędzia: Ależ to nie jest obraza. Psy zresztą nie posłuchały go i nie zjadły was.

Grzybek: Tak, to nie jest obraza? Więc niech pana sędziego także psy zjedzą!



### Niezawodny środek.

Kilka dni temu, ukazało się w amerykańskiem piśmie ogłoszenie tej treści:

„Jedyny niezawodny środek przeciw muchom, komarom i innym insektom. Działanie piorunujące. dnik zauważył, że naokoło krzyżyka kreśli jeszcze kółka.

Każdy kto posłał dwa dolary, otrzymywał odwrotną pocztą mały młotek.



### Zmiana nazwiska.

Pewna wdowa na kresach wschodnich przychodzi co pewien czas do kasy po pieniądze. Ponieważ nie umie pisać kwituje zawsze krzyżykiem. Kiedyś urzędnik zauważył, że naokoło krzyżyka maluje jeszcze kółko.

— Co ma znaczyć to kółko? — pyta.

— A bo, proszę pana, ja w zeszłym tygodniu wyszłam zamąż, więc teraz nazywam się inaczej.

### Warszawscy przewodnicy.

Z powodu spodziewanego przybycia turystów do Warszawy wykształcono pewną ilość jegomościów na przewodników po mieście i objaśniaczy. Wczoraj był egzamin.

— Kto to jest? — zapytał egzaminator kandydata na przewodnika, zatrzymując się przed pomnikiem króla Sobieskiego.

— Król Sobieski — odpowiada kandydat.

— Dobrze. A co on zdziałał?

— Zbił Turków pod Grunwaldem.

— Sto razy panu mówiłem, że pod Wiedniem. A teraz powiedz pan, co znaczą cyfry na pomniku 1696 i 1788?

Szesnaście-dziewięćdziesiąt sześć i siedemnaście-osiemdziesiąt ośm? To są numery telefonów króla Sobieskiego.



### W sądzie.

— Czy oskarżony był już kiedy karany?

— Tak, jeden raz za to, że tłukłem głową o ścianę.

— Przecież za to się nie karze.

— Ale to nie była moja głowa.



### Sprytny.

— Co robi twój ojciec, jeśli mu zachoruje koń?

— Lekko, czy ciężko?

— A cóż to ma do rzeczy?

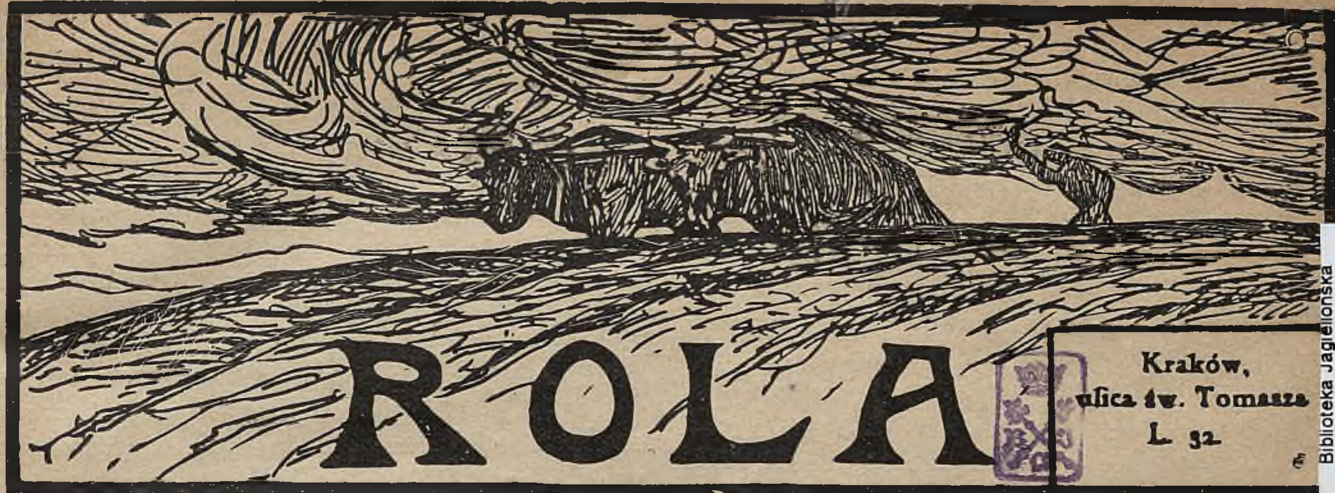
— Owszem. Gdy koń lekko zachoruje to daje mu lekarstwa, a gdy ciężko, to go sprzedaje.





**Za zmianę adresu należy się 40 groszy.**

Numer 1. Rok XVI. Kraków, dnia 1 stycznia 1933.






ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

# NOWOROCZNE ZWYCZAJE LUDOWE.

Już to jest przyjęte wśród ludzi wszelkich stanów, że Nowy Rok obchodzą wesoło. Każdy mimowoli chce zapomnieć o wszystkiem złem, jakie spotkało go w roku ubiegłym, a żywi nadzieję, że rozpoczynający się rok będzie lepszy od poprzedniego. Dlatego też w dniu tym wszyscy



życzą sobie wzajemnie, aby ten rok nowy przyniósł im jaknajwięcej szczęścia, którego w poprzednim po największej części nie zaznali.

W dawnej Polsce obok składania sobie życzeń był również zwyczaj ofiarowywania podarunków krewnym i znajomym. I dzisiaj każdyby wziął, ale niema kto dać. Wzajemne obdarowywanie się przeniesiono jednak na tak zwaną „Gwiazdkę".

W wiekach średnich istniał zwyczaj, że na Nowy Rok zbierali się w gromadę ubodzy żacy, czyli studenci, i zabrawszy torby i garnuszki, obchodzili domy mieszczańskie, starając się aktualnemi piosenkami obudzić hojność ofiarodowców. Niektóre piosenki wyliczały przysmaki, których domagali się żacy. We wszystkich prawie domach obdarowywano ich według możności. Prawdopodobnie zwyczaj, wprowadzony przez żaków, przeniósł się z czasem do młodzieży wiejskiej, która do dziś dnia jeszcze w Nowy Rok chodzi po tak zwanych „Szczodrakach".

Najpospolitszym dziś po wsiach jeszcze zwyczajem jest rozsypywanie na rogach stołu owsa, oraz trzymanie w ciągu dnia bochenka chleba na stole na znak, że w rozpoczynającym się roku nie powinny zawieść urodzaje i nie powinno być w domu głodnych.

Z dniem Nowego Roku związany jest także szereg zabobonów i przesądów oraz wróżb, z których lud polski wyciąga prognostyki na przyszłość. Dziewczęta czynią najrozmaitsze wróżby zamążpójścia, taksamo jak w wigilję św. Andrzeja. Jest bowiem między temi dniami ten związek, że św. Andrzej zakończa rok kościelny, a św. Sylwester rok świecki.

Jest też mniemanie, że dziewczyna, która w wigilję Nowego Roku o północy wpatruje się przy świetle dwóch świec woskowych w zwierciadło, a ani razu się nie obejrzy, ujrzy w lustrze postać przyszłego

małżonka. W dniu tym dziewczęta płatają figle chłopcom, a ci znowu dziewczętom. Więc wciągają brony na kominy domów, drzwi podpierają klocem drzewa i t. p. Dziewczęta przebierają się za cyganki, parobcy za cyganów, oprowadzających niedźwiedzia, który zaleca się do dziewcząt.

W Saksonji jest pospolitym zwyczajem, że w Nowy Rok nie wydaje się ognia do cudzego domu. Prawdziwy Szkot nie pozwoli nawet wynieść drzewa, ani węgla z domu, obawiając się, aby do czarów przeciw niemu nie zostały użyte.

We Francji oprócz składania życzeń w dniu Nowego Roku istnieje zwyczaj trzykrotnego pocałowania w twarz, od którego nawet najskromniejsza dziewczyna uchylić się nie może.

Mieszkańcy Alp włoskich, żonaci i zaręczeni, zbierają się na placu publicznym, ażeby dowiedzieć się od czarownika lub od czarownicy, czy mogą być pewni przez cały rok wierności swoich żon, czy też narzeczonych. Czarownicy, występujący w fantastycznych strojach i szeptający tajemne zaklęcia, zapewniają przeważnie każdego o wierności jego ukochanej. Obrzęd kończy się wyklęciem i wypędzeniem złego ducha, mogącego zamącić spokój rodzinny.

Także i w Chinach obchodzą Nowy Rok uroczyście, urządzając różne zabawy, trwające nieraz dwa tygodnie i więcej.

# Zdrada wojewody Wincza.

**Powieść historyczna.**

I.

Pora była jesienna, jeszcze letniem ciepłem ogrzana. Na skoszonych łąkach pasło się swobodnie bydło, na ścierniach czerniały rozproszone owce. Wśród żółtych pól, widać było role czarne, pasami zorane na przyszłą siejbę, nad któremi ulatywało ptactwo, szukające w świeżej ziemi robaczego żeru.

Wiejska cisza otulała osadę wielką, zdala lasami otoczoną. Siedziała ona tu zakryta od napaści nieprzyjaciela, który tak często kraj niszczył i pustoszył, bo nigdzie wkoło zgliszcz widać nie było, a chaty miały czas postarzeć w spokoju.

W pośrodku na wzgórzu, opasany wałem, porosłym zielenią a obwarowanym częstokołem, rozsiadał się dwór duży drewniany z dachem wysokim. Brama wyższa jeszcze od niego wskazywała wjazd. Stała ona teraz otworem.

W podwórzu dosyć pustem, wśród którego studnia z żórawiem i korytami najwidniejszą była, — rozłożyły się wozy jakieś, od których konie odprzęgano, jezdni zsiadali, gwarno było i czeladzi dużo, wybiegłszy z szop, kręciło się pośpiesznie około dworu.

Włodarz miejscowy w długiej opończy, podpasanej rzemieniem, w czarnych skórzniach, z twarzą ogorzałą, z długiemi włosy, spadającemi na ramiona, czapkę wysoką trzymając w ręce, w drugiej kij biały, zdawał się zajęty i zakłopotany ugaszczaniem przyjezdnych. Spadli tu widać niespodziewanie, bo wszystko się koło nich kręciło, potraciwszy głowy...

Trzeba było pomieścić ludzi i konie, na wypadek słoty zaciągnąć kędyś pod dach wozy, choć one skórami ponakrywane były, w ostatku garść tę znużoną i zgłodniałą karmić i poić.

Ten sam ruch widać było przy dworze, którego drzwi wszystkie otworem stały i okna były odsunięte. Lecz tu, oprócz czeladzi, przybyłych gości nie było widać.

W sieniach dwu zbrojnych spoczywało na ławie, żelazne hełmy pozdejmowawszy z głowy; siedzieli znużeni, nic nie mówiąc do siebie.

W izbie sąsiedniej, której drzwi niezamknięte były, tylko przywarte, dawał się słyszeć krok ciężki mężczyzny, który zwolna, dziwnie się jakoś poruszał. Po tym chodzie znać było, że go droga odbyta nie uspokoiła i nie znużyła.

Zbrojni, co słuchali pode drzwiami, spoglądali czasem na siebie, jakby się pytali: co on robi?...

W istocie ktoś tam się poruszał jakby bez myśli, a pod władzą uczucia, co nim miotało. Szedł to żywo bardzo i jakby pędził za czemś, to stawał nieporuszony, to wlókł się, nogi ciężkie za sobą pociągając... Ruchom tym towarzyszył to szczęk oręża, który musiał mieć na sobie ,to dychanie piersi zmordowanej. Czasami przysiadał ciężko na ławę, słychać było uginające się pod nim suche drzewo, to wstawał pośpiesznie i biegał po izbicy, zbliżając się ku drzwiom samym i oddalając w drugi koniec, skąd dochodziły głuche stąpania.

Orężna straż, ile razy się przysunął ku drzwiom, zdawała się gotować do powstania, a gdy się nie doczekała pana, opadała znużona, swobodniej oddychając...

Z izby, po której się przechadzał przybyły pan czy gość, niekiedy przez okno odsunięte ,otwarte pokazywała się głowa... Ile razy ona wyszła z tych ram, na ciemnem tle głębi izby, ci, co w podwórzu stali, a ujrzeli ją, jakby po nich mrowie przechodziło, prostowali się, milkli, stawali pokorni i gotowi na skinienie.

Głowa ta wysuwała się nagle, jak popchnięta czemś ze środka, ale nie spoglądała na ludzi, co się nią czuli zagrożeni — patrzała gdzieś w dal, jakby wyczekiwała i nadsłuchiwała. Chwilę tak malowała się na czarnem tle, z dwojgiem rąk silnych, spartych na zrębie okna, i ginęła w mroku...

Naówczas straż, siedząca na ławie w sieni, słyszała znowu chód niecierpliwy, chrzęst i stękanie.

Zmierzchać zaczynało, gdy zdala ziemia zadrgała, jakby od kopyt końskich.

Zbrojni ludzie u studni pozwracali oczy ku gościńcowi i głowa w oknie błysnęła... Stanęła, nie chowając się długo do głębi. Nasłuchujący przyłożył rękę do ucha i czekał...

Słychać było kłusem nadjeżdżających, których za drzewy i budowlami widać jeszcze nie było. Zbliżali się. Rozeznawano już w podwórzu nie tętent pędzonego stada, co się płosząc, rozbiegło, ale mierzone kroki gromadki ludzi, których konie nawykły iść razem. Szczękało, jakby żelazo. Chód był ciężki...

Głowa w oknie poruszała się żywo, wychyliła więcej jeszcze. Z za opłotków ukazały się żelazne hełmy śpiczaste i dzid kilka... Patrzący znikł, odbiegłszy stanowiska.

Kilkanaście koni zmierzało ku wrotom otwartym. Przodem jechał w pięknej zbroi czarnowłosy, silnie zbudowany mąż, na koniu ciężkim i spoconym. Że-

łazem był okryty na pół, choć w podróży, obyczajem tych, co go nigdy nie zwykli byli zrzucać, aby ramion nie oduczać od rycerskiego brzemienia. Za nim tuż pacholę wiozło tarczę i miecz, a dalej zbrojni, wąsaci, zarośli, chłop w chłopa ludzie dobrani a rośli, różnie pouzbrajani pędzili na koniach postrojonych, jak kogo stało, w rzemienne i mosiężne rzędziki.

Na tarczy, którą pacholę wiozło i na hełmie tego, co przodem jechał, widać było znamię zawołania, chustę białą, zwiniętą, ze spuszczonemi końcami. Po znaku tym ludzie w podwórzu musieli się domyślać kogoś, bo między sobą żwawo szeptać zaczęli, rozstępując się i czyniąc przyjezdnym drogę wolną.

Jadący na przedzie, zobaczywszy orszak u studni, trochę żywiej podjechał pod dwór, i osadziwszy konia, zsiadł z niego, nie troszcząc się oń, bo już pacholę u studni stało.

Sam krokiem pośpiesznym wbiegł, ledwie spojrzawszy na straż w sieni, która, zobaczywszy go, powstała, i drzwi do izby otworzył, gdzie w progu czekał nań przybyły wcześniej.

Ten, którego tylko siwą głowę widzieliśmy w oknie, stał teraz cały, czekając na gościa, jeszcze w podróżnej zbroi nie rozdziawszy się — przy mieczu, głowę tylko mając oswobodzoną od hełmu, który na stole wśród izby rzucony, świecił blaskiem, jaki okno nań ciskało.

Spojrzeli sobie w oczy i przybyły rękę wyciągnął ku gospodarzowi. Nie powiedzieli słowa do siebie, oczyma mierząc się tylko...

— Bóg płać — głuchym, stłumionym głosem ozwał się wreszcie siwy mąż, — Bóg płać, żeście przybyli. Sroga była potrzeba rozmowy.

Postąpili kilka kroków ku przodkowi wielkiej a pustej izbicy. Czysta ona była, ale snać dawno nie zamieszkiwana, bo w niej okrom niezbędnego sprzętu, ław i stołu, jakby wrosłego w podłogę, nie było nic. Na stole hełm się świecił i dzban stał a kubek. Na ławie leżał płaszcz, ciśnięty od niechcenia.

— Biegłem, jakom mógł i co sił starczyło, do Pomorzan — począł teraz, hełm zdejmując i czoło ocierając z potu przybyły. — Poseł wasz mi napędził strachu, bo mi na łeb śpieszyć kazał do was. Obawiałem się zastać tu co złego.

— I niceś tu dobrego nie zastał — odparł głosem drżącym siwy.

— Cóż? wojna? Krzyżacy znowu na karku? Nie nowina to! — odezwał się gość. — Jeżeli ich nie mamy, zawsze się ich spodziewamy. Rozejm pono wypowiedziany, więc już niszczą pewnie w Mazowszu, albo gdzie na granicy.

— Krzyżacy! Krzyżacy! — z gorzkim uśmiechem żywiej coraz począł siwy. — Toć chleb powszedni — nie byłoby po co wołać was na nich.

Potarł czoło i urwał, a po chwili silnie się w piersi bijąc, krzyknął:

— Nie o to dziś idzie, ale o mnie i o wszystkich nas, i o tę ziemię Wielkopolską całą, która przepadnie.

— Jakto? — odparł zdziwiony gość.

— Tak, jak mówię! — unosząc się, ciągnął dalej siwy. — Nadeszła ta godzina, że jej bronić potrzeba.

— Od kogo? — spytał zdumiony gość.

Siwy, którego kilka słów wyrzeczonych już o jakieś roznamiętnienie przyprawiły, nie mogąc czy nie śmiejąc powiedzieć, co myślał, rzekł, hamując się:

— Rozgośćcie no się, pomówimy o tem, bo mówić jest o czem, na Boga miłego! Spocznijcie z drogi, siadajcie... ja też ledwiem z konia zsiadł, ale we mnie wre wszystko... jeszczem nawet tchnąć nie mógł.

— Straszycie mnie! — rzekł, spokojnie miecz odpasując, gość. — Ani mogę odgadnąć, o co idzie i co was tak zaniepokoiło.

— Chybabyś kamiennym był — zakrzyknął siwy, — abyś, jak ja, nie zakipiał, gdy ci rozpowiadać zacznę. Ale gościem mi jesteście, synowcze miły; naprzód trzeba po podróży ciało pokrzepić.

Klasnął w ręce. Wszedł jeden z siedzących u drzwi.

— Jeść i pić niech dadzą, co mają — zawołał — a nie opieszale! Włodarza pędzić, aby nas nie morzył głodem. W dzbanie woda tylko.

Wyszedł zbrojny.

Gość się tymczasem ze zbroi powoli rozdziewał i ręce wyciągał, a nogi prostował. Ciemne swe włosy rękami poprawił i na tył głowy zarzucił.

Twarz jego wyszła teraz w całym blasku. Gdyby nie różnica wieku i nie to, co on zawsze po sobie zostawia, gdyby nie zapisane ślady życia, twarz siwego do tej młodszej byłaby wielce podobną. Rysy mieli też same, lecz wyraz ich był różny. Ciemnowłosy miał coś rycerskiego, butnego a lekceważącego w sobie, zwiastującego, że życie brał poprostu, szedł jawnie do celu, a mówił, jak myślał. I gdyby zgrzeszył, byłby grzech swój wyznał.

Starszy tę butę miał już przerobioną na dumę niezmierną, drażliwą, chorobliwie bolejącą, niespokojną. W tej chwili była ona, jak rana rozdarta — tknąć jej nie można było. Wrzenie wewnętrzne zdradzało się poruszeniami i wzrokiem obłąkanym, a ostrym.

Nie rozpoczęli jeszcze rozmowy, gdy już czeladź żeńska i męska, tak poprostu odziana, jak ją tu niespodziani goście zastali, wnosić poczęła jadło niewykwintne: mięsiwa pieczone, polewki, jaja, kaszę, a do nich piwo i miód.

Oba do wojaczki i myśliwstwa nawykli, niewybredni, rzucili się na ten posiłek chciwie. Lecz starszy, szybko zaspokoiwszy głód, rychło porzucił jedzenie, nóż swój otarł, ręce obmył i począł się po izbie przechadzać zasępiony. Dłużej u stołu pozostał gość, oczyma ścigając gospodarza i przekąsając powoli.

Stróż tymczasem w kominie ogień wieczorny naniecił, a gdy gość dojadł, zebrano misy i zostawiono tylko miód i kubki.

Starszy popijał coraz, lecz w taki sposób, jakby sam nie wiedział, co czynił. Zaprzątnięty był czem innem.

— Miły stryju — odezwał się, napróżno wyczekawszy, by mówić począł, czarnowłosy — czekam na to, coście mi mieli rzec i po co wezwany byłem tak pilno.

Siwy namarszczywszy się, stanął i począł patrzeć nań.

— Obaśmy Świdwy — począł, — tyś syn brata mojego, a dziś, gdy jego na świecie niema, tyś drugiej gałęzi naszego rodu, zawołania Nałęczów, głową. Nie z Dobkiem chciałem mówić, a z Nałęczem i tymi, co z nim idą.

— Wiecie — odparł Dobek spokojnie, — że dotąd po Bożemu ród nasz zawsze, w złej i dobrej doli spójny był i jako snop związany. Nie rozwiąże on się zaraz.

— Wszystkich bo nam sił trzeba, aby się nie dać pognębić — zawołał stary Świdwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Szczodraki.

Od kilku minut odzywało się potężne ujadanie na dworze. Stary, ochrypły zegar wycharczał godzinę szóstą. Józef z Michałem nie mogli się ukomosić na łóżku. Długie, płomieniste sekundy przeszywały im mózgi — a czas niemiłosiernie wydrzeźniał się im z mroków, tańcząc po niewidzialnem klepisku.

Wreszcie trzasła przy piecu potarta zapałka. Zakołysały się w mieszkaniu melodyjne ciemnie i ślepiąca poświata lunęła na świetlicę, promienisto waląc od lampy. Zajarzyły się wśród pierzyn zapalone ślepka, dwa białe kłębki rzuciły się przed siebie, rzeźko dyrdając do większego kłęba, kiwającego się na drugiem łóżku.

— Mamusiu kormon, mamusiu szybko! Potem, potem zdrowaśki, potem będziesz sie modlić...

Drepcząc jak sroki szybko koło krzeseł, pchali w podskokach nogi do nogawek i naglili matusię. Na tatusia zerkali figlarnie. Niosąc lampę do stołu uśmiechał się radośnie...

— Zuchy! Krzepkie bo brzdące!

Matka uderzyła się w piersi, przeżegnała i powstała z pościeli. Chłopcy porwali się czemprędzej.

— Tylko zawiąz nom dobrze, tylko mamciu porządnie! Szczodroków przyniesiemy obaj pełne kormony.

Zadudniło na dworze ,pies zawarczał gwałtownie. Z wielkim tupotem, z rozłożystym szelestem, z pokłonami przez progi wsypali się do izby...

— Na scęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!
Piekliście tyz scodrocki, kołocki — jak i w tamten rok?
Przyjść nom kozoł Poniezus i ten święty Jon —
Jak ni mocie scodrocków, kołocków, dejcie chleba krom.
A jak mocie grosiki, to niech dzwoni trzos,
Winszować wom będziewa na całuśki głos:
Miejcie w tym Nowym Roku zawsze chleba w bród,
Bo nie dobrze, gdy w kątach przyczaji sie głód.
Niech sie rodzo zimniocki, jak pniocki,
Rzepa jak chodocki —
I niech pleni snop,
Baba niech wos nie tłuce, ani wos tyz chłop...
Niech zakwito tatarka,
Niech nie zmyko kucharka,
Niech nie prysko bobek,
Niech nie wirzgo parobek,
Niech wom krowy nie ryco,
Tego wom z serca scodrocorze życo...

Zakołysały się rytmicznie trzy baranie czapy, zachrzęszczały w obrotach trzy zgrzebne kormony — scodrocerze skończyli.

Gospodyni, porobiwszy synom z prześcieradeł długie, białe worki, dala dryblasom po dwa grosze, wtuliła do kormonów po szczodraku i drągale pobiegli.

Józef z Michasiem nie posiadali się ze złości...

— Takie konie i jesce!

— Prędzy, matuś, na scęście!

— Prędko, taciu, z pięć groszy!

Ucałowali tatusiowi i mamusi ręce, dostali od tatusia po pięć groszy na szczęście, od mamusi po rogalu i z gruchotem wylecieli na pole. — Pies ich głośno powitał, wiatr ich szronem oblizał — zaraz przy progu w śniegu utouęli pq bluzki. Brnęli jednak zawzięcie i gajdali do traktu. Na środku drogi kłębowisko postaci. Djabłów kudłatych w podskokach, klekotliwych turoniów z rozdziawionemi paszczami, żydów brodatych, dziadów z palicami grubemi, chroniące babki w powrósłach — szybko trzeba było wymijać.

Tu jakaś grupka zdążała, tam jakieś licho rozwaliło się na drodze, hań jakiś kormon zamajaczył od świtu — tańcowała wieś, wydymała się droga, ruszały się chałupy...




Józef z Michasiem borykali się z wiatrem, wlatywali do domów, wytrząsali życzenia, nadstawiali kormony, dostawali grosiki, wyrywali w te pędy i znów dalej sunęli. Tu mieszkał ujek, tam ok była ciotka, — trzeba było gnać z wiatrem.

Podskakiwały szczodraki w kormonach, grzechotały groszaki w woreczkach. Jeszcze tu, jeszcze tam, tu bogaci tam chudobni, tu pójdziewa, tam wleciwa, jeszcze tu, jeszcze tam. Coraz chyżej tańcowała wieś, coraz gwałtowniej wydymały się śniegi, coraz gościnniej ruszały się chałupy.

Tu gromadą, tam we dwójkę, tu z turoniem, tam z djabłami, tu przed żydem, tam przed babką — byle dostać, byle dużo... Nic gnojownie, nic rynsztoki, nic warczący w sieni pies; opłacą się takie tłoki, nie przeszkodzi w locie bies...

Has, has — za mgłami zatrzepotało się słońce, bim bom — dzwony na wietrze ciężko się pokładły, coraz widniej, coraz później...

Pół wsi obiegli, kormony wypełnili, miedziakami wypchali szmaciane woreczki, spocili się siarczyście — trzeba wracać... Ślepia roześmiane, pyski czerwone, ho, ho, co rodzicom pokażą. Do dom z wiatrem dyrdają. Tu minęli Matysa, tam pozostał Łoboda — prędko, prędko, już blisko! Cwałem, galop — już w domu...

Tatuś buty pastuje, mama kawę popija — oni wpadli jak bomby.

— O, co mamy pinięndzy, hej co mamy rogalów, mamuś, mamuś kochana!

Dalej liczyć pieniądze. Wyliczyli — mieli po siedemdziesiąt groszy... Na stół wysypali szczodraki. Zakwitły na kupie pączki, rogaliki, jabłka, bułki i cukierki w papirkach.

— Co tyz tego o rety!

— Mamuś prędko jeść dawej!

Porwali się do kawy, do placka, do masła i okropnie gadali. Czemprędzej opowiadali swoje dziwne przygody. Chcieli jeszcze wszystko wypaplać i zdążyć do kościoła. Ojciec słuchał z uśmiechem, matka dolewała im kawy.

— Oj na sumę pójdziewa!

— Oj z mamusią i z taciem!

— Kuba z Burkiem bedo pilnować szczodroków.

*Władysław Długosz.*

---

## *Idę sobie z Rolą...*

*Idę sobie z „Rolą“ od chaty do chaty*
*I wzywam rodaków do prenumeraty.*
*Czy stary, czy młody, ja Was bardzo proszę,*
*Poślijcie na „Rolę“ czemprędzej swe grosze.*

*Wszak pieniądz ci dzisiaj łatwo złodziej skradnie*
*I cała Twa radość niechybnie przepadnie,*
*A gdy dasz na „Rolę“, to pieniądz nie zginie,*
*A na Ciebie z „Roli“ samo szczęście spłynie.*

*Pouczysz się nieraz i rozerwiesz trochę,*
*Odpędzisz od siebie różne myśli płoche,*
*Zaś Maciuś Cię czasem ubawi do syta...*
*Posyłaj więc grosze na „Rolę“ i kwita.*

*A za rok, mój Bracie, to Ci mówię szczerze,*
*Z małych Ci się „Rolek“ wielka „Rola“ zbierze*
*Będziesz miał rozrywkę i nieco nauki,*
*A kiedyś po Tobie i dzieci i wnuki!*

# Góral wśród wilków.



Coraz częściej czyta się w gazetach codziennych i tygodniowych o pojawianiu się wilków w różnych okolicach kraju. Szczególniej zaczynają one grasować w województwach wschodnich, jak wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, a nawet tarnopolskie i stanisławowskie. Pochodzi to stąd, iż znaczna liczba wilków żyje w Rosji po lasach tamtejszych, a pod zimę przechodzi granicę i zapuszcza się w dalsze strony Polski. Taki wędrowny wilk gdzieś tam udusi jakieś zwierzę, to znów napadnie i zagryzie człowieka, ale wkrótce sam pada od strzału myśliwego, który się z nim spotka czy to przypadkowo, czy wczasie specjalnej obławy. Są to więc sporadyczne wypadki grasowania wilków w obecnych czasach w Polsce.

Dawniej było znacznie gorzej. Olbrzymie lasy na ziemiach polskich były znakomitą kryjówką dla tych drapieżników, toteż włóczyły się ich po kraju całe gromady, napadając na podróżnych, którzy ośmielili się zapuścić w dalszą drogę. Wielkiem ułatwieniem dla wilków było i to, że wioski były bardzo odległe od siebie, więc wrazie napadu trudno było się gdzieś schronić lub uzyskać jakąkolwiek pomoc. Toteż gdy ktoś wyruszał w dalszą drogę, zaopatrywał sanie po bokach w ostre kosy ,a przy sobie umieszczał nieraz kilka strzelb, aby miał się czem wrazie potrzeby bronić. Obrona ta była jednak i z tego względu utrudniona, gdyż strzelbę po każdym strzale trzeba było nanowo nabijać, podsypywać prochu na panewkę, a na to wszystko nie było czasu. Wskutek tego wielu ludzi padało ofiarą wilków w czasie napadu.

Wilki, choć to stworzenia nie uczone, ale przecież miały swój rozum. Kiedy napotkały jadących ludzi, to atakowały ich, a właściwie konie, z przodu. Wiedziały bowiem, że gdy zagryzą konie, to i człowiek nie zdąży im umknąć. Zabiegały więc dalekiem kołem poprzed konie, rzucały się na ich karki, wieszały się u brzuchów i szarpały ich ciała ostremi kłami. A kiedy choćby tylko jeden koń padł trupem, to ciężarem swoim powstrzymywał inne i udaremniał zupełnie ucieczkę. Wówczas dopiero rzucały się na ludzi i pożerały ich.

Gdy wilki były bardzo wygłodniałe, co zdarzało się często wskutek wielkiej ich ilości, to kiedy od strzału padł jeden z ich gromady, rzucały się na jego zwłoki i pożerały je. To ułatwiało ucieczkę napadniętym.

Zdarzyło się raz, że na Podkarpaciu napadło czterech wilków samotnego górala na polance leśnej. Nie było czasu na wdrapanie się na drzewo, gdyż drzewa były dość odległe od owego górala. Zabłyszczały ślepia drapieżców z radości, gdyż miały już niemal pewną przekąskę na drugie śniadanie. Polecił góral ducha Bogu, ale przytomności nie stracił. Uchwycił w garść swoją ciupażkę i pochylił się ku nadbiegającym drapieżnikom. Przypadł do niego jeden, a on go bęc ciupagą pomiędzy ślipia, że aż mu odrazu mózg wyskoczył. „To jeden! — powiada góral. — A teraz jestem ciekaw, który mnie z tych trzech zje!?" Wilki zatrzymały się chwilę, jakby się namyślały, co im dalej czynić wypada. Nagła i niespodziewana śmierć ich towarzysza zbiła ich trochę z tropu. Widziały jednak swą przewagę: ich było trzech a góral jeden. Po krótkiej naradzie najsilniejszy rzucił się wprost na górala, podczas gdy dwa inne zaczęły go zachodzić z boku. Góral poskoczył ku pierwszemu i palnął go z całej siły między oczy. I ten, skowytnąwszy przeraźliwie, wywrócił się do góry łapami. Ale z dwóch stron nadbiegały ku niemu dwa inne wilki. Góral, nie myśląc wiele, poskoczył ku pierwszemu z nich i kałatnął go siarczyście ciupagą. Krew zalała ślipia wilkowi, ale nie padł na miejscu, lecz zawrócił ku lasowi i zmykał, ile mu siły w nogach pozwalały. Biegł, znacząc swe ślady purpurową strugą krwi.

Czwarty wilk, widząc sromotną śmierć swych to-

warzyszy, dał za wygraną. Nie czekał na straszny cios z ręki groźnego górala, ale schowawszy ogon pomiędzy nogi, czmychnął w niedalekie gąszcza. Rozgląda się góral, a tu polanka pusta. „Kaześ, zbereźniku? — powiada. — A podźże, spróbujwa się!" Ale nie miał się z kim spróbować, bo wilk już dawno zaszył się w gąszczach leśnych.

Góral wyjął kozik zza cholewy, okrajał dokładnie skórę na trzech zabitych wilkach, bo i trzeci padł z ran o kilkadziesiąt kroków od pola walki, zdjął je, zarzucił na siebie i poszedł wolno ku rodzinnej chacie. Zawsze powiadał, że wilki znowu nie takie straszne, jak się wydają, tylko trzeba się z niemi umieć delikatnie obchodzić.



# MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają starzy ludzie, ze nie ino menżczyźni, ale jesce bardziej kobiety zdolne są do nadzwycajnych poświęceń. Tego samego zdania są i moja gospodyni, którzy powiadają, ze oni się bez całe zycie la gospodarza poświęcają, a ze choć do tego casu bośki o nich zapomniały, to juz nie wina gospodyni, ale siły wyzsej, bo przecie dość takich ludzi, co zyją przez całe zycie w małżeństwie, a w panieństwie umierają. Ocywiście mowa tu o niewiastach, bo zaden menżczyzna w panieństwie umrzyć nie moze, jako ze juz od samego urodzenia nigdy nie był panną. Ale to juz nie jego wina.

Tego samego zdania jest i Kaśka Myrdalonka, która przez całe zycie la wszyćkich się poświęca, a jesce zadnego mendalu za swe zasługi la ojcyzny nie otrzymała. Ale niema sprawiedliwości na świecie. Druga nic la społeceństwa namacalnego nie zrobi, a gazyty o niej pisą, i ma sławę po świecie. A Kaśka? O Kaśce i jej zasługach la ludzi prawie nikt w kraju nie wie, a jeden jegomość od casu do casu coś niecoś z kazalnicy o niej powiedzą. Ale to wszyćko robi, co moze, aby se na uznanie ludzkie zasłuzyć.

Takie poświęcenie la własnego chłopa nie udało się takze Magdzie Franaskowej. Chciała się poświęcić w sądzie, ale się jej nie udało. To nie jej juz wina. Franaskowie, aby se trochę odkryzysować obecne kryzysowe casy, załozyli se w Psiej Wólce maleńką fabryckę wódki. Broń Boże, nie w chałpie, ale w stodole. Wyrabiali tam, jak umieli, samogonkę i uzycali jej ludziom za niewielkie piniądze. Kupował ją od nich wójt, kupował podwójci, kupował grabarz, a nawet sam pan organista zakrapiał nią codziennie swą poświącaną gębę, coby mógł lepiej drzyć się w kościele na chwałę Bożą. A w kościele psiwólcańskim trzeba się drzyć głośno, zeby Poniezus usłysał, bo kościółek niewielki, okna małuśkie, to głos z trudem na zewnątrz wychodzi.

I byłoby wszyćko dobrze, gdyby nie Mosiek, który jako inwalida duchowy zapewne, bo nigdy na wojnie nie był, to ma ciało mocne, jak byk, ma karcmę i wysynk z wódkiem pod kogutkiem tuz wele kocioła. Wele kościoła latego, aby ludzie po nabozeństwie mogli trochę przygrzysyć i nie tak prędko pośli do nieba. Otóż ten Mosiek wywąchał jakosik fabryckę Franasków i zaraz dał znać o tem polikierom. To jest takiem ludziom, co nieraz do niego po likier przychodzili, aby się zagrzać nieco po swej uciązliwej słuzbie. A trza wiedzieć, ze nasi policjanty, to nicem baby; jak się o cem dowiedzą, choćby nawet w najwięksej tajemnicy, to zaraz jazda z tem do sądu. Jakby to sędziowie byli znów ciekawi, co się tam gdzie w jakiej Psiej Wólce dzieje. Takich donosów oni nie lubią, bo mają z tem kłopot, ale jak się o cem dowiedzą, to przepadło. Trza robić, bo się za to penksje bierze.

Sędzia rad nierad, bo to chłopisko dobre i wie, co to jest bida, jako ze i sam na niescęście jest zeniaty, musiał wytocyć Franaskom proces o niedozwolony wyrób wódki. Franaskowie przestrasyli się trochę, ale niebardzo, bo w dzisiejsych casach kreminał to la niejednego dobrodziejstwo; dadzą jeść darmo, przespać się mozna bezpłatnie, a jesce i obsługę mas tam, brachu, jak jaki hrabia. Jedno ino było Franaskowi nie na rękę, to to, ze jesce zaden psiwólcański radny w hareście nie siedział, choć kradną, a on jako radny musiałby pirsy siedzieć. Ale od cego jest baba, tak sławiona przez wszyćkich jako istota najzdolniejsa do poświęceń. Zaproponował jej Franasek ,aby całą winę przyjęła na siebie i Franaskowa się zgodziła. A zgodziła się i latego, ze sędzia był młody i miał wiele ucucia la wszyćkich niewiast.

Stanęli przed sądem ,a sędzia pyta się ,cy się przyznają do winy?

— Ja nie — powiada Franasek. — Wszyćkiemu winna baba. Niech ona odpowiada za siebie, ja o nicem nie wiem.

— Jakze to — zdziwił się sędzia. — Miskacie razem i nic nie wicie? Nie wicie nawet, cem się wasa baba zajmuje?

— Nie wiem, panie sędzio. Ona wszyćko...

— Dziwne! I cóż wy na to Franaskowa?

— Prawdziwie, panie nacelniku... moja w tem wina... Mozecie mnie ukarać. On nic nie winien.

— Słuchajcie, kobieto, jezeli chcecie swego męza wytłomacyć, to to nic nie pomoze, bo sąd wszyćko wie...

— No to, jak wie, to poco się pyta. Ale jakby wiedział, toby i to wiedział, ze mój o nicem nie wiedział.

— Jakze to? Nie zyjecie razem?

— A nie!

— I lacegoz to? Cy moze latego, ze wasa baba starsa? — zwrócił się sędzia do oskarżonego z zapytaniem.

— A juści ze starsa... o cały miesiąc... I zreśtą taka całkiem do nicego.

Franaskowa wybałuscyła ocy na Franaska i powiada:

— Co? Ja starsa, cholero, od ciebie? I całkiem do nicego — powiadas? A skąd się dziecka co parę miesięcy biera? Ha? Niech prześwietny sąd nie wierzy! On starsy odemnie o dwa roki i on sam wódkę robił. A co do tego, zem do nicego, to, ja, jakby pan sędzia chciał i bez niegobym sobie radę dała...

Byłaby baba dalej gadała, ale sędzia kazał jej być cicho i zasądził oboje na kreminał. A Franasek powiadał sobie w duchu: Baba djabelskie ziele, zawse babą pozostanie i nic jej nie odmieni.

# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

**Afryka Wschodnia. Kilima Ndżaro. I.**

Afryka Wschodnia w znacznej części należy pod panowanie angielskie, choć i tu są jeszcze pozornie niezależne państewka krajowców. Drobni jednak ci władcy miejscowi nie posiadają żadnego znaczenia



Sina, sułtan w okolicy Kilima Ndżaro.

na zewnątrz, choć często prowadzą między sobą zacięte i krwawe walki. Państewka te grupują się przeważnie u podnóża wulkanicznej góry Kilima Ndżaro. Słowa „Kilima Ndżaro" znaczą po polsku: „Góra ducha sprowadzającego zimno". Nazwa ta ma swe uzasadnienie w tem, że u stóp góry panuje temperatura wysoka, która przeciętnie wynosi 30 stopni, a im bliżej ku szczytowi, tem ciepłota się obniża, dochodząc tylko do 3 stopni ciepła. Podróżny, chcąc się dostać na jej szczyt na wysokość 6010 metrów, musi najpierw przebyć pas nieprzejrzanych mgieł, poczem dopiero wkracza w sfery, w których nawet najmniejsza chmurka nie zaciemnia błękitnego sklepienia nieba. Ale równocześnie z przed ócz człowieka giną doliny i wzgórza, chaty i pola, bo wszystko przed nimi zasłania owa gęsta mgła.

Stoki najwyższej tej afrykańskiej góry, która u podstawy ma w obwodzie 270 kilometrów, zamieszkują dwa ludy najzupełniej od siebie odrębne, a mianowicie Czagowie na południu i Massaje na północy. Czagowie to ludek bardzo ciekawy, zdolny i inteligentny. Mieszkają oni nie w dużych wioskach, ale w pojedynczych osadach. Dwie lub trzy chaty służą tu za mieszkanie dla męża, żony, dzieci i niewolników, opodal mieści się stajnia i niewielki spichlerz, w którym przechowują proso, fasolę, banany, miód i piwo. Całą osadę otacza ogród, opasany żywopłotem ze smoczego drzewa. Nad bramą rozmaite pnące się rośliny tworzą prześliczny łuk z zielonych liści i różnobarwnych kwiatów, w pobliżu zaś płynie zwykle niewielki strumyk. Pożywienia krajowcom dostarcza przeważnie królestwo roślinne, choć za najlepszy napój uważają świeżą, ciepłą krew zwierzęcą.

Oczywiście tak Czagowie, jak i inni mieszkańcy Afryki Wschodniej są poganami, chociaż właściwie uznają Boga jednego, jako najwyższą władzę. Ale również i słońce czczą jako Boga, który jednak podlega i słucha rozkazów najwyższego Boga.

Według podania pierwszy władca tych krain wpadł do krateru wulkanu i do dziś dnia dusza jego tam przebywa. Na cześć jej więc każdego roku zabijają owcę, mięso zaś wrzucają do wnętrza krateru, aby dusza ta nie cierpiała tam głodu.

Czagowie w przeciwieństwie do innych murzynów nie wierzą zupełnie w szatana. O życiu przyszłem mają bardzo mgliste pojęcia, ale wierzą głęboko w nieśmiertelność duszy.

Co do zwyczajów rodzinych, to smutną niestety jest rzeczą, iż każde dziecię słabe lub ułomne na-



Spotkanie misjonarzy z lwem.

tychmiast po urodzeniu zostaje zamordowane. W niektórych jednak miejscowościach ojcowie opierają się temu. Dopóki dziecię nie nauczy się chodzić i wymawiać swoje imię, dopóty nie ma prawa wyjść z chaty, pierwsze zaś ukazanie się jego na Bożym świecie obchodzone bywa uroczyście i rodzice zapraszają znajomych na ucztę, po której następują tańce.

Czagowie miewają przeważnie jedną żonę, niektórzy jednak wodzowie mają ich kilka, lecz i wówczas pierwsza żona uchodzi za właściwą gospodynię domu, której wszystkie inne winny szacunek i posłuszeństwo. Jadło podaje się najprzód ojcu rodziny, poczem każdy z jej członków osobno spożywa swą porcję. W rodzinach, liczących kilka żon, każda z nich z dziećmi mieszka w innej chacie.

Gdy umrze dziecię, albo też człowiek nieżonaty lub bezdzietny, wówczas krajowcy nie grzebią jego zwłok, ale niosą je daleko w głąb lasu, przykrywają liśćmi i pozostawiają dalszemu losowi. Ludzie żonaci i ojcowie rodzin pogrzebani zostają we własnej chacie, mężczyźni po prawej, kobiety zaś po lewej stronie drzwi.

Celem uzupełnienia powyższego opisu podajemy dwa obrazki, z których pierwszy przedstawia sułtana z okolic Kilima Ndżaro wraz z paziem i żołnierzem, a drugi spotkanie misjonarzy z lwem w czasie podróży ku owej górze. (Ciąg dalszy nastąpi)

J. MOKRZYCKI.

# TRUCICIELKI.

**Powieść kryminalna z 18 stulecia.**

(Przedruk wzbroniony).

## PROLOG.

Nad dolnym biegiem Dźwiny, w okolicy lesistej, na niewielkiem wzgórzu, wznosił się zamek Fallenburg, należący do niemieckiej rodziny, która już od wieków tu osiadła.

Zamek ten zbudował rycerz niemiecki Robert, należący do zakonu „Kawalerów mieczowych", którzy tu dla nawracania pogan na wiarę chrześcijańską osiedli, który to rycerz, wystąpiwszy później z zakonu, założył tu gniazdo rodzinne, a przybrawszy nazwisko od miejscowości, nazwał się Robertem von Fallenburg i, uprawiając żyzne rozległe pola, dorobił się znacznego majątku tak, że wkrótce należał do najbogatszych panów na Inflantach, a dla swoich rzadkich cnót, był szanowany i ceniony nietylko przez swych ziomków, lecz także przez panów i szlachtę polską, zamieszkującą na Inflantach.

Toteż nierzadko zjeżdżali do zamku na różne uroczystości rodzinne Fallenburgów panowie polscy nietylko z Inflant — lecz także z Korony, nierzadko także i Fallenburgowie odwiedzali swoich polskich sąsiadów, nierzadko też szukali żon na polskich magnackich dworach, często również wraz z swymi pocztami, wyciągali na wojny przeciw nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej.

Przyjaźń ta trwała wieki, a nawet przetrwała ród Fallenburgów, z których ostatni zmarł na początku 18 wieku wydając jedyną swą córkę Elizę za polskiego pana, Zygmunta Brzeskiego, któremu w testamencie przekazał, obszerne majętności, wraz z starym zamczyskiem, który po objęciu spadku, Brzeski kazał niezwłocznie odnowić i przebudować stosownie do ówczesnych wymogów.

W chwili więc, gdy rozpoczynała się era wypadków, które zamierzam opisać, zamek Fallenburg nie był już zamkiem, pomimo iż się zawsze zamkiem zwał, lecz był pałacem, rezydencją wielkopańską, jakie rzadko można spotkać, równającą się, a nawet przewyższającą niektóre rezydencje królewskie w Europie. Do zamku należały rozległe dobra, składające się z urodzajnych pól, łąk, lasów pełnych zwierza i stawów dobrze zarybionych. Do majątku należało kilkanaście wiosek i folwarków, puszczonych w terminową, bądź wieczystą dzierżawę. Niektóre z tych folwarków mogły stanowić same wcale ładną pańską fortunę, a obecnie w ręku jednego właściciela były istotnie magnackim, niemal książęcym majątkiem.

Nikt się też nie zdziwi, że przejście tak olbrzymiej fortuny z niemieckich w polskie ręce wzbudzić musiało w sercach Niemców, krewnych wygasłej rodziny Fallenburgów, zazdrość, a nawet nienawiść, właściwą zresztą plemieniu germańskiemu.

Zamek okalał wspaniały, z licznemi klombami, ścieżkami i altanami park, który przytykał do starego wiekowego lasu, niezbrodzonego jeszcze w każdem miejscu nogą ludzką. U podnóża zamku rozciągała się wioska, z kilkudziesięciu drobnorolnych gospodarstw złożona, w pośrodku której wznosił się murowany, ładny kościół z wysoką gotycką wieżą.

Wioska, jak zresztą wszystkie podówczas, była pańską, pomimo to wieśniacy byli zamożni i mieli się dobrze, gdyż jak dawniej panowie von Fallenburg, tak i obecnie pan Brzeski, nie byli tyranami, nie wymagali za wiele od swych poddanych, pozwolili im się swobodnie rozwijać i byli im dobrymi opiekunami.

Rządy w wiosce w imieniu pana sprawował sołtys, który był za swe czynności odpowiedzialny przed panem. Ludność wioski składała się w większej części z Niemców, w mniejszej z Łotyszów, znajdowało się też po kilku polskich i litewskich chłopów. Sołtystwo sprawowała dziedzicznie rodzina Grünbergów, chłopów niemieckich, którzy wzamian za sprawowaną służbę, utrzymywali kilka dziesięcin gruntu, bez obowiązku odrabiania pańszczyzny i wolni byli od wszelkich ciężarów.

Pewnego dnia znaleźli przechodnie tuż nieopodal kościoła pokaźną kobiałkę, z której wydobywał się głośny, żałosny płacz niemowlęcia. Znalazcy odnieśli kobiałkę natychmiast do sołtysa, którą on wziąwszy, natychmiast otworzył i wydobył zdrową, śliczną, kilka zaledwie dni życia liczącą dziewczynkę. Z bogatych tkanin, które dziecko okrywały, łatwo było odgadnąć, iż rodzice dziecka nie byli ludźmi prostymi, a zatem podrzutek był dzieckiem jakiejś upadłej moralnie damy, która tym sposobem ukryła swój upadek.

W głębi kobiałki pod tkaninami znajdował się list i drewniana bogato rzeźbiona kasetka. Sołtys, zobaczywszy list, sięgnął po niego, a że był czytelny, rozdarł kopertę i przebiegł pismo oczyma. Treść listu była następująca:

„Dziecko ochrzczone imieniem Ireny, zechce znalazca wychować do pełnoletności, a na koszta utrzymania znajdzie w kasetce odpowiednią sumę, której połowę zachowa na posag. Znajdujący się w kasetce medaljon, stanowi własność dziecka, z tem jednak, że nie wolno otworzyć go, aż w dzień ślubu. Znajdujący się w nim dokument dotyczy tylko dziecka i jest dla niego jedynie ważny, a nie

przedstawiający żadnej wartości dla osób drugich".

— Żadnych wiadomości co do pochodzenia dziecka w liście nie znajduję — rzekł sołtys, skończywszy czytanie. — Nim znajdzie się ktoś, ktoby zajął się jego wychowaniem, pozostanie dziecko u mnie.



Z kobiałki wydobywał się żałosny płacz niemowlęcia.

Gdy znalazcy opuścili izbę, sołtys, przywoławszy żonę, zabrał się do otwierania kasetki, którą po dłuższym usiłowaniu udało mu się wreszcie otworzyć. Otwarłszy kasetkę, własnym oczom nie chciał uwierzyć. Kasetka wypchana była banknotami tak, że właściciel połowy tej sumy mógł stać się bogatym człowiekiem. Na spodzie leżał cudny, złoty, drogimi kamieniami wysadzany medaljon na bogatym złotym łańcuszku.

— Musimy dziecko u siebie zatrzymać — rzekł sołtys, łysnąwszy pożądliwym okiem na banknoty. Musi to jednak pozostać w tajemnicy, bo chociaż połowa tych pieniędzy prawnie według treści listu należy się wychowawcy dziecka, byłaby jednak zazdrość, — a może jeszcze zabraliby dziecko do zamku, jako że jest to dziecko szlacheckie — a wraz z niem naturalnie zażądaćby mogli zwrotu także i pieniędzy.

— Tak, tak — potwierdziła żona. — O pieniądzach nikt nie śmie się dowiedzieć, a sąsiadom powiemy, że dziecko wychowamy z łaski, a zwłaszcza nie mając własnych dzieci.

I nikt w całym Fallenburgu nie dowiedział się nigdy, co zawierała znaleziona w kobiałce kasetka, ani też dlaczego sołtys wioski utył we dwoje, jak również i jego małżonka, która jakkolwiek w parę lat potem powiła bliźniaczki i sama je wykarmiła, a mimo to coraz bardziej na nogach unieść się nie mogła. Przypisywano to zjawisko faktowi, iż na kilku dziesięcinach bez obowiązków pańszczyźnianych, sołtysostwu musiało się lepiej przecież powodzić, co mogło być rzeczą zupełnie naturalną.

Dość na tem, że jak tam było, to było, to jednak mała Irena żywiona i pielęgnowana starannie, wyrastała na ładną dzieweczkę i wychowywaną była o wiele lepiej i staranniej od swych wiejskich rówieśniczek, lepiej też była od nich odziana, a nawet oddaną została miejscowemu organiście, który za opłatą uczył ją sztuki czytania i pisania. Pozatem w chwilach wolnych od nauki nie obarczano jej pracą — jedynie kazano pasać na łąkach dość liczne stado białych jak śnieg gęsi, co zresztą było dosyć przyjemnem zajęciem i dziewczyna nigdy się na to nie uskarżała. Jakkolwiek za te pieniądze, wychowanie jej i wykształcenie mogło być o wiele odpowiedniejsze, nie wiedząc nic o swem pochodzeniu, ni o pieniądzach na swe utrzymanie przeznaczonych, nie wymagała więcej niczego. Prócz czytania i pisania niemieckiego uczyła się także języka polskiego, którego lekcji, organista Polak chętnie jej udzielał, nie żądając za to osobnej zapłaty, której, jak przewidywał, byliby przybrani rodzice odmówili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Legenda noworoczna.

Niebotyczne góry, obsypane drobnemi perełkami szronu, lśniły się osrebrzone jasnymi promieniami księżyca.

Wąską, karkołomną ścieżką, przez dzikie kozy wydeptaną, śmiałą, bosą nóżką schodziło z wyżyn pacholę.

Nad urwistą, bezdenną prawie przepaścią, spotkało na swej ścieżce starca, który powolnym krokiem, podpierając się grubym kijem, postępował do góry. Pochylony wiekiem starzec odziany był w ciepły kożych, a długa, siwa broda spadała mu na piersi. Spotkawszy się z maleńkiem chłopięciem, stanął, bo na wąskiej ścieżce rozminąć się nie można było i jeden z nich musiał zsunąć się w przepaść a ściana była prostopadła i śliska tak, iż na niej utrzymać się nie można było.

— Precz mi z drogi — zawołał ostrym głosem starzec — zawadzasz mi, a spieszyć się muszę.

— Gdzież ci ustąpię — odpowiedziało pacholę — widzisz przecie, że to jest niemożliwe. Ale któż ty jesteś, że tak szorstko odzywasz się do mnie?

— Jestem Stary Rok. Idę Panu zdać rachunek z mej działalności i odpocząć po przebytych trudach.

— Ach to ty jesteś tym niegodziwcem? Ty, co tyle nieszczęść na świat zesłałeś? O pamiętne będzie twe panowanie! Spojrz poza siebie! Iluż ludzi cierpiało głód i nędzę, iluż daremnie szukało pracy, a znaleźć jej nie mogło. Ileż kroniki zanotowały w czasie twego panowania zbrodni, ile rabunków, ile morderstw? I czemże się ty przed Panem popiszesz, gdy staniesz przed Jego obliczem? Czy może tym kryzysem, który trapi świat cały. Czy może zaniesiesz Mu te łzy żon robotników, które nie mają czem pożywić zgłodniałej dziatwy, czy może dasz Mu te narzekania szarej rzeszy wieśniaczej, która, obciążona podatkami, końca z końcem związać nie może? A może przedstawisz Mu dolę rodzin urzędniczych, które nieraz do ust nie mają co włożyć? Rzuć się raczej w przepaść, a nie nieś przed oblicze Pana tego ogromu klęsk, jakie za twojego panowania na świat spadły.

— Któż ty jesteś, malcze, iż z taką śmiałością czynisz mi wyrzuty? — zawołał oburzony starzec.

— Jestem twym następcą. Nowy Rok się zowię — odpowiedziało pacholę.

— Cóż ty dobrego niesiesz światu, że tak wyszydzasz moje panowanie? — zapytał Rok Stary.

— Ja — odpowiedziało pacholę — niosę ludziom Wiarę. Gdy wszyscy uwierzą w własne siły, zdobywać będą naukę i wiedzę, by się zrównoć z innymi, bo tylko wówczas staną się siłą odporną dla tych, którzy dziś ich gnębią. Niosę im Nadzieję, że po dniach smutku i niedoli nastąpią dni radości i wesela. Niosę im Miłość chrześcijańską, którą złączę

wszystkie bratnie narody, by wspólnie dla własnego dobra pracowały.

Upokorzony starzec pochylił się przed swoim małym następcą i zapytał:

— Więc chcesz mnie wtrącić w przepaść, by nieść ludziom te piękne obietnice?

— Nie chcę twej zguby — odpowiedział Nowy Rok. Połóż się na ścieżce, a ja przejdę po twoim grzbiecie.

Starzec położył się na pochyłej ścieżce, a Nowy Rok lekką nóżką przeszedł po grzbiecie jego, niosąc ludziom Wiarę, Nadzieję i Miłość.

# Dziecię Marji.

Żył w bardzo dawnych czasach ubogi chłopek, liczną obarczony rodziną. Nie mógł zarobić na tyle, aby wszystkich okryć i wyżywić, a tu do tego nadszedł czas głodu, i przyszła na świat córeczka. Poszedł biedak do lasu, aby na zbliżający się dzień wigilijny choć jakie zwierzątko upolować i dziatwę



i chorą żonę pożywić. Nic jednak nie spotkał — toteż usiadł pod drzewem i gorzko zapłakał. Wtem stanęła przed nim śliczna pani, od której jasność promienna biła, a wokoło jej głowy gwiazdki błyszczały i rzekła:

— Jestem Matką Boską. Znam twą biedę, a żeś człekiem uczciwym, chcę ci dopomóc. Daj mi najmłodszą córeczkę, a wezmę ją do nieba i matką jej będę!

Biedak upadł Najświętszej Panience do nóg, zgodził się i serdecznie za łaskę podziękował.

Matka Boża zabrała dzieweczkę do nieba i tu ją wychowywała.

Kiedy już podrosła, dała jej Matka Boska pęk kluczy i rzekła:

— Ja wychodzę a ty pilnuj mieszkania. Masz tu trzynaście kluczy. Te są od tych dwunastu izb, a ten od trzynastej. Te dwanaście wolno ci otwierać i do nich zaglądać, tylko trzynastej nie.

Dziewczynka, zaciekawiona pootwierała pierwsze dwanaście izb i takie cuda tam ujrzała, że dała się uwieść pokusie i otworzyła drzwi trzynaste. Zaledwie je uchyliła, musiała zamknąć czemprędzej, taka oślepiająca jasność stamtąd biła. Była to bowiem izba Pana Boga, zaś w tamtych mieszkali Apostołowie. Przestraszona ukryła się w kątku i wyszła dopiero gdy Panienka Najświętsza wróciła ze spaceru i zażądała kluczy. Kiedy je Zosia oddawała, spojrzała jej Matka Boża w oczy i spytała, czy nie otwierała drzwi trzynastych. Zosia odpowiedziała, że nie. I tak Matka Boża pytała jeszcze dwa razy i oba razy Zosia się zaparła. Tedy rzekła Matka Boża:

— Ponieważ do grzechu popełnionego się nie przyznajesz, będziesz dotąd niemową, dopóki go ze skruchą nie wyznasz.

Odebrała jej mowę i spuściła do wielkiego lasu. Tutaj żyła długi czas, żywiąc się korzonkami i wyrosła na bardzo piękną dziewczynę.

Raz polował w tym lesie król i spotkał ją. Tak mu się spodobała, że choć była niemową, pojął ją za żonę. Kiedy przyszło im na świat pierwsze dziecię, piękny chłopczyk, radość króla i narodu nie miała granic. W nocy ale przyszła Matka Boska, wróciła królowej mowę i spytała:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie! — odpowiedziała królowa.

Tedy Matka Boska zamknęła jej mowę i zabrała synka do nieba. Kiedy król się dowiedział, że dziecię znikło, bardzo się zmartwił, a z nim cały naród. Nie wiedziano jednak, jak się to stało.

I znowu to samo powtórzyło się przy drugiem dziecięciu. Królowa się nie przyznała do grzechu, a Matka Boska zato zabrała znowu dziecię do nieba i zrobiła ją niemową.

Teraz ale poczęto w całym kraju opowiadać, że królowa dzieci własne pożera. Powoli jednak wszystko ucichło i czekano, co będzie dalej. I przyszło na świat trzecie dziecię, córeczka. I znowu nocą przyszła Matka Boża, przywróciła jej mowę i znów spytała:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie!

— Chodź ze mną!

Zabrała ją do nieba i pokazała dwóch zabranych ślicznych synków i spytała znowu:

— Czyś otworzyła trzynaste drzwi?

— Nie!

Tak sprowadziła ją Panienka Marja na ziemię, do pałacu, zamknęła jej mowę na nowo i zabrała trzecią dziecinę.

Kiedy gruchnęła po kraju wieść, że i trzecie dziecię zniknęło, wszyscy zaczęli domagać się kary na okropną matkę za pożarcie własnych dzieci. — I sam król w to uwierzył, że ona dzieci zjadła, toteż wydał żonę sądowi. Królowa bronić się nie mogła, bo mowę miała zamkniętą, toteż skazano ją na spalenie żywcem na stosie. Ułożono wielki stos smolnego drzewa, a do słupa stojącego w środku stosu przywiązano królowę i stos podpalono. Widząc śmierć przed oczyma, poczęła nieszczęśliwa myśleć, jakby tu przyznać się do grzechu. Umysł jej nie mógł jednakże nic stosownego wynaleźć, bo choćby była chciała usprawiedliwić się, iż dzieci swych nie pożerała, to trud cały był daremny, gdyż myśli swych mową nie mogła wypowiedzieć. Gdy już ogniste płomyki poczęły sięgać jej stóp, rada była przed śmiercią przyznać się do kłamstwa. W tej chwili odzyskała mowę i głośno zawołała:

— Marjo! otworzyłam drzwi trzynaste! Marjo, daruj mi mą winę!

Zaledwie domówiła tych słów, spadł rzęsisty deszcz, który zagasił płonący stos, a w obłoku zjawiła się Matka Boża i oddając jej dzieciny, wyciągające do niej rączęta, rzekła:

— Kto się do grzechu przyzna i zań serdecznie żałuje, temu Bóg dobry wszystko przebacza i zapomina o złem.

Z temi słowy znikła, a królowa odzyskawszy dzieci, mowę i szacunek męża i narodu, żyła długo szczęśliwa.

Powtarzała ona później nietylko swem dziatkom, ale dworzanom i wszystkim poddanym, gdziekolwiek sposobność się nadarzyła, aby nikt nigdy ust swych kłamstwem nie kalał, bo często za małe kłamstwo Bóg ciężką pokutę zsyła.



# Poradnik gospodarczy.

**Warunki hodowli konia.**

W hodowli konia, która w dzisiejszych konjunkturach zaczyna być opłacalną gałęzią rolnictwa, rozstrzyga wiele czynników naturalnych.

Teren ubogi w sole wapienne i fosforowe w żadnym razie nie nadaje się do hodowli konia. O ile ten brak soli nie jest zbyt wysoki, można go przez wapniowanie (jesienią) i zasilanie nawozami fosforowemi w pewnym stopniu zmniejszyć. Nie zastąpi to jednak nigdy naturalnego zasobu soli mineralnych, które rozstrzygają o ukształtowaniu się kośćca źrebięcego. Koń jest wrażliwy na położenie gleby i czuje się najlepiej w położeniu suchem i wysokiem.

Wiatr i jego napięcie odgrywa dużą rolę. Źrebak wychowany na pastwisku, zmoczony przez deszcz, wymaga do osuszenia dość silnego wiatru i to tembardziej, im więcej jest podrasowany. Siano, o ile wiatr go na pokosach czy zwałach nie wysuszy, zaparzy się i nie będzie dobrą paszą.

Doświadczenie uczy, iż najodpowiedniejszą rzeką dla użytkowania wody do pojenia — to rzeka, w której pojawiają się i utrzymują pstrągi (Forellen). Pewna zawartość wapna i żelaza w wodzie jest niezmiernie pożyteczna.

Poważnym czynnikiem hodowli są pastwiska. Bywają one stałe, zastępowane czasami przez łąki zalewne i sztuczne. Przeciętnie trzeba liczyć 5 mórg pastwiska, aby przekarmić jedną klacz i inwentarz. U nas ponieważ dodaje się ziarno i zakładki, norma ta zmniejszona być może do 1 ha (2 morgi) na jedną sztukę. W gospodarstwie drobnem użytkowanie pastwiska jest inne: bydło dojada paszę przegryzioną przez wypuszczone najpierw konie. — Przy hodowli konia na lekkich gruntach, należy zasilać pastwiska tylko na jeden okres wegetacyjny; na gruntach cięższych można nawozić na kilka lat, wybierając nawozy niełatwo rozpuszczalne, jak np. tomasówka i kainit. Obecnie nowe doświadczenia w tym względzie podkreślają ważność związków azotowych, wpływają bowiem one na zawartość białka, przyczem trawy wcześniej dojrzewają i dłużej się trzymają w jesieni.

Po zimie najzdrowszy zielony pokarm można mieć w postaci żyta, wcześnie wysianego w jesieni. Specjalne mieszanki traw tworzą długoletnie pastwiska, które o ile są oszczędzane z jesieni mogą dać na wiosnę doskonałą paszę. Przejście do zielonej paszy wcześniej musi być dokonywane stopniowo, aby przyzwyczaić żołądek z paszy suchej do paszy zielonej. Przy wyborze mieszanek traw na zasiew, czy podsiew, trzeba wybierać trawy wytrzymałe na deptanie, czy elastyczne. Dla koni szlachetnych nie dawać wiele koniczyny. — Szczególnie koniczyna czerwona nie powinna przekraczać 5 proc. innych roślin. Koniczyna biała jest więcej godna zalecenia. Szczególną uwagę należy zwrócić na lucernę w podsiewach traw pastwiskowych jako odddzielnie poza płodozmianem lucerniki. Przy układaniu mieszanek traw pastwiskowych zasadą jest następująca norma: 65 proc. traw niskich, 25 proc. motylkowych i 10 proc. traw wysokich.

Ogrodzenia są sprawą bardzo ważną, gdyż zapewniają bezpieczeństwo w razie spłoszenia się źrebiąt, a także umożliwiają racjonalne i stopniowe wypasanie pastwiska. Najpraktyczniejsze są ogrodzenia z szerokich słupków jednej wysokości z wierzchnią, poziomo leżącą belką lub deską. Wysokość tego ogrodzenia powinna sięgać około półtora metra, a w okolicach specjalnych dla ogierów stadnych — 2 metry. Wrotka wygodniejsze są wiszące. Częste przełazy na stałych płotach są konieczne ze względu na wygodę i zabezpieczenie płotów przed uszkodzeniami. W kątach okólników dobrze jest zasadzać drzewa, by w upalne dnie konie mogły znaleźć ochłodę. Tak samo obecność studni na pastwisku o ile dostęp do rzeki daleki, jest bardzo ważnym czynnikiem w hodowli.



**Krajowe zioła lecznicze**
**i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych.**

**Babka** *(Plantago)* mniejsza, większa i najskuteczniejsza lancetowata *(Pl. lanceolata)*, znana także jako Pięćżyłek, rośnie wszędzie na dziedzińcach, łąkach, przy drogach i ścieżkach. Kwiaty ma ujęte w walcowate kłosy. Zapachu niema, smak z początku słodkawy, potem gorzki. Kwitnie od kwietnia i wówczas zbiera się liście i suszy. Zawiera sól kuchenną, siarkę, sole wapienne, garbnik i gorzknik. — Herbata z liści działa leczniczo na błony śluzowe płuc, przewodu pokarmowego, czyści krew; doskonale działa w różnych krwawieniach, czerwonce, biegunkach, zimnicy, dychawicy krwioplucіu, wymiotach, chorobach nerkowych i pęcherzowych. Jeszcze lepiej działa sok wyciśnięty z świeżych liści, zażywany kilka razy dziennie, po łyżce.



Zewnętrznie używa się do okładów całych, lub roztartych liści, na wrzody, raki, róże, karbunkuły, oparzenia, obrzękłe gruczoły. Nastój z liści jest dobrym środkiem do płukania gardła i mycia głowy w łupierzu; słabszy nastój do obmywania zapalonych oczu. Zapalone dziąsła należy pędzlować sokiem i równocześnie pić herbatkę z babki. Lud wiejski przykłada liście babczane na małe rany i wrzody.

Dr med. *Stanisław Breyer*, Kraków, Wolska 36.

# KRONIKA.

**Od Redakcji.** Stosownie do życzenia wielu naszych Czytelników konkurs „Roli" przedłużamy do końca stycznia b. r. Kto więc jeszcze nie nadesłał na konkurs swego utworu, a ma coś zajmującego przygotowane, lub też obmyślane do napisania, może to jeszcze w ciągu miesiąca stycznia opracować i pod adresem Redakcji „Roli" nadesłać. Zwracamy również uwagę, że w numerze dzisiejszym rozpoczynamy druk dwóch nadzwyczaj zajmujących powieści, a mianowicie „Zdrada wojewody Wincza" i „Trucicielki". Treść obydwóch powieści jest nadzwyczaj zajmującą, a całość będzie i w późniejszych latach miłą lekturą dla niejednego. Z tego powodu należy też otrzymane czy nabyte w trafikach i kioskach numery starannie przechowywać, aby mieć później całość. Ponieważ wydawnictwo pochłania wiele pieniędzy, więc trudno nam drukować wiele zapasowych egzemplarzy, więc w razie zaginięcia jakiegoś numeru możnaby go w przyszłości nie otrzymać. W końcu przypominamy zamieszczany w „Roli" na str. 11 opis dwustu najważniejszych ziół leczniczych, co do których ścisłe badania naukowe lat ostatnich wykazały, że przewyższają skutecznem działaniem wszelkie inne środki. Czytelnicy nasi, zbierając pilnie numery naszego pisma, uzyskają, w krótkim czasie, znakomity domowy podręcznik zielarski, ułożony przez znanego krakowskiego lekarza dra med. Stanisława Breyera.

---

**Proces o brylanty i futra.** W styczniu ubiegłego roku przyjechała do Krakowa i zamieszkała w Grand Hotelu bogata Polka z Francji nazwiskiem Ciunkiewiczowa. Po kilku dniach pobytu w Krakowie zawiadomiła policję, że z walizek, posiadanych przez nią, skradziono jej drogocenne futra, klejnoty i gotówkę, przez co poniosła około 20 miljonów złotych straty. Policja nie uwierzyła jednak w kradzież, ale podejrzywała, że Ciunkiewiczowa rzeczy tych ze sobą do Krakowa nie przywiozła i że zmyśliła kradzież, aby uzyskać odszkodowanie od Towarzystwa ubezpieczeń. Wytoczono jej proces, który trwał przez kilka dni. W rezultacie zapadł wyrok, skazujący p. Ciunkiewiczową na 15 miesięcy więzienia z odroczeniem kary na pięć lat, to znaczy, że jeżeli przez pięć lat p. Ciunkiewiczowa nie dopuści się żadnego czynu karygodnego, to i w więzieniu siedzieć nie będzie, ale też i odszkodowania od Towarzystwa ubezpieczeń nie otrzyma. P. Ciunkiewiczowa wnosi odwołanie do sądu apelacyjnego, twierdząc dalej, że rzeczy owe zostały jej rzeczywiście skradzione. Wskutek tego odbędzie się w tej sprawie ponowny proces.

**Kurjerkowe tanie buty.** Ilustrowany Kurjer Codzienny podaje w numerze 354 z dnia 22 grudnia, że uszycie pary butów kosztuje obecnie 80 groszy. Możeby Kurjerek zechciał podać adres tak taniego szewca, aby wszyscy nasi Czytelnicy mogli sobie dać u niego robić buty. Niema to jak sensacja.

**Walka policji z bandytami.** W lasach jaworznickich pełniący tam służbę dwaj policjanci zauważyli czterech podejrzanych osobników, uzbrojonych w strzelby, którzy na widok posterunkowych zmierzyli się do nich z broni. Wywiązała się strzelanina, w czasie której jeden z posterunkowych ranił jednego z bandytów. Trzej pozostali osobnicy zdołali zbiec i ukryć się w okolicznych lasach. Ranny bandyta zmarł w drodze do szpitala.

**Wyrok śmierci w Wadowicach.** Przed sądem doraźnym w Wadowicach odbył się proces przeciw Marjanowi Berneckiemu, ślusarzowi z Krakowa, który z początkiem grudnia napadł pod Izdebnikiem na pocztyljona Światłonia, zamordował go i zabrał mu 4.000 złotych gotówki. Po przeprowadzonej rozprawie sąd skazał Berneckiego na karę śmierci przez powieszenie. Obrońca jego, Dr Woźniakowski, odniósł się jednak telefonicznie z prośbą do Pana Prezydenta o ułaskawienie, a Pan Prezydent zbrodniarza ułaskawił, zamieniając mu karę śmierci na dożywotnie więzienie.

**Nadużycia w magistracie m. Tuchowa.** Wobec krążących wieści, iż w Magistracie m. Tuchowa koło Tarnowa nie wszystko jest w porządku, zjechała tam z Tarnowa komisja, która stwierdziła, że pogłoski te są, niestety, prawdziwe. W kasie miejskiej okazał się brak 1.400 złotych, a ponadto stwierdzono, że pobrano od płatników większe podatki, aniżeli się należały. Ogółem stwierdzono w kasie brak 2.000 złotych. Wobec stwierdzonych braków aresztowano kasjera magistratu Bolesława Miętusa. Sprawa ta wywołała w Tuchowie wielkie poruszenie.

**Wyrok na ruskich terorystów.** Jak to pisaliśmy w poprzednim numerze „Roli", we Lwowie toczył się proces przeciwko czterem terorystom ruskim: Danyłyszynowi, Biłasowi, Żurakowskiemu i Kossakowi, którzy dokonali krwawego napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim. Wszyscy oskarżeni do winy się przyznali. We czwartek 22 grudnia zapadł wyrok, mocą którego Danyłyszyn, Biłas i Żurakowski zostali skazani na karę śmierci przez powieszenie, zaś sprawę Kossaka przekazano zwykłemu sądowi. Na telefoniczną prośbę Pan Prezydent zamienił jednak Żurakowskiemu karę śmierci na 15-letnie więzienie. Danyłyszyna i Biłasa nie ułaskawił, wobec czego obydwaj zostali w dniu 23 grudnia o godzinie wpół do siódmej rano powieszeni.

**Trup inżynierowej na torze kolejowym.** Na torze kolejowym w pobliżu Lwowa znaleziono zwłoki kobiety, która rzuciła się pod przejeżdżający pociag. Była to żona inżyniera Hupentala z Sanoka. Inżynierowa Hupentalowa już przed rokiem zaczęła czytać dzieła o życiu pozagrobowem. Wskutek tego popadła w silny rozstrój nerwowy. Wreszcie dla zasięgnięcia porady lekarskiej przyjechała do Lwowa, gdzie widocznie pod wpływem opinji lekarskiej rzuciła się pod pociąg.

**Wykrycie tajnej gorzelni.** W miejscowości Tuławie, leżącej 4 kilometry od Śniatyna, w mieszkaniu wdowy Achtemijczukowej wykryto tajną gorzelnię. Achtemijczukowa sprzedawała wyprodukowaną przez siebie wódkę po okolicznych wsiach. W czasie rewizji znaleziono w jej mieszkaniu 30 litrów wódki. Achtemijczukową aresztowano.

**Zagadkowa walizka na drzewie.** Mieszkańcy wsi Capowce w powiecie zaleszczyckim zauważyli w czasie przechodzenia przez las pobliski zwisającą z gałęzi jednego z drzew walizkę, którą zdjęli, a otworzywszy ją, znaleźli w niej legitymację z fotografją mężczyzny. Wdrożone w tej sprawie badania stwierdziły, że walizka stanowi własność pewnego wieśniaka, który miał przed kilku dniami powrócić z Ameryki do swych krewnych w okolicy. Prawdopodobnie bandyci napadli go w drodze, zamordowali, ciało gdzieś ukryli, a walizkę powiesili na drzewie. Podejrzenia kierują się ku bandzie opryszków, zostającej pod wodzą herszta Czajkowskiego.

**Tajemnicze zaginięcie pieniędzy.** Dwaj urzędnicy Polskich Zakładów przemysłu cynkowego w Będzinie pp. Marcin Jachińczyk i Markus Rechnic przybyli z polecenia swej firmy do Banku Polskiego w Sosnowcu celem wymiany 18.000 złotych w banknotach 100-złotowych na drobne. Kiedy w banku otworzyli teczkę z pieniądzmi, okazało się, że pieniędzy tych w teczce niema. Co się z nimi stało, urzędnicy nie mogą sobie wytłoma-

czyć. Zarządzona natychmiast rewizja w Banku nie dała żadnego rezultatu.

**Skarb w gołębniku.** Kościół w Chruszczobrodzie koło Częstochowy padł ofiarą świętokradców, którzy zabrali monstrancję, wysadzaną drogiemi kamieniami. Monstrancję znaleziono przed kilku dniami porzuconą w lesie. W wyniku żmudnego dochodzenia policyjnego świętokradców wykryto i aresztowano. Są nimi Antoni Poczęty i Stanisław Rudecki. Podczas rewizji, przeprowadzonej u przyjaciółki Poczętego, niejakiej Janiny Pętkowskiej, znaleziono na strychu w gołębniku 11 sztuk kamieni, wyjętych z monstrancji. Aresztowano również i wspólniczkę obydnych świętokradców i osadzono ją w areszcie.

**Uwięziona lokatorka.** Przy ulicy św. Barbary w Częstochowie mieszka niejaka Julja Kosecka. Wskutek trudności finansowych kobieta nie mogła zapłacić czynszu mieszkaniowego. Gospodarz nachodził ją z żądaniem zapłaty, a kiedy ta oświadczyła mu, że pomimo najszczerszych chęci zaległości uiścić nie może, gospodarz rozgniewany zamknął ją w mieszkaniu, a drzwi pozabijał gwoździami. Kobiecina zmuszona była przebywać w tem więzieniu przez dłuższy czas, a gospodarz uwolnił ją, kiedy mu uiściła dwa złote, jako zadatek na należny czynsz.

**Samobójstwo zbankrutowanego przemysłowca.** W Łodzi popełnił samobójstwo 46 letni Maurycy Halpern, do niedawna bogaty przemysłowiec i właściciel fabryki. Wskutek pogorszenia się interesów Halpern utracił cały majątek, a nawet miano go usunąć z dotychczasowego mieszkania. W stanie silnej depresji duchowej powiesił się on w łazience.

**Ponowny proces przeciw więźniom brzeskim.** W dniu 3 lutego b. r. rozpocznie się w Sądzie apelacyjnym w Warszawie ponowny proces przeciw więźniom brzeskim, którzy swego czasu zostali skazani na długoletnie więzienie. Są to, jak wiadomo, posłowie i działacze z tak zwanego Centrolewu, a mianowicie pp. Witos, Kiernik, Liberman, Putek i inni. Proces potrwa zapewne dłuższy czas.

**Sensacyjne aresztowanie majora lotnictwa.** W Dęblinie został aresztowany major lotnictwa Olszański. Aresztowanie to wywołało wielkie wrażenie, gdyż major Olszański był znany i lubiany, jako człowiek bardzo czynny. Aresztowanie nastąpiło w związku z ujawnieniem niedokładności w księgach rachunkowych. Podobno major Olszański, powodując się zaufaniem, miał pożyczyć rozmaitym osobom większe kwoty pieniężne, które nie stanowiły jego własności. Aresztowano go i przewieziono do więzienia wojskowego w Warszawie.

**Pies przemytnikiem.** W sądzie karnym w Katowicach odbyła się niesłychanie ciekawa rozprawa. Przed sądem stawał robotnik Franciszek Starzec wraz z żoną i córką, pochodzący z Tarnowskich Gór. Starzec oskarżony był o to, że w roku 1930 wytresował rasowego psa wilczura i używał go do przemytu towarów ze strony niemieckiej na polską. Starzec wysyłał Wilczura na drugą stronę granicy, gdzie przemytnicy objuczali go workiem z towarami. Pies bardzo sumiennie przynosił Starcowi przemycane towary. Sąd skazał oskarżonego na 1.000 złotych kary.

**Okradziony biedak.** Z Kobylina donoszą: Dokonano tu niezwykłego rabunku na osobie 19 letniego sługi, Franciszku Kamińskim. Kamiński służył u leśniczego Kasperskiego w Lillu. Kiedy został przez swego chlebodowcę zwolniony ze służby, biedny chłopak przybył w poszukiwaniu pracy pod wieczór do Kobylina. Spotkawszy w drodze dwóch mężczyzn, z których jeden mógł liczyć 40 a drugi 20 lat, zapytał ich o nocleg. Ci powiedzieli mu, że w pewnej wiosce za Kobylinem jest dom, który bezpłatnie nocuje podróżnych i ofiarowali się tam go zaprowadzić. Kiedy znaleźli się w lesie, młodszy osobnik chwycił Kamińskiego pod gardło a starszy zaczął z niego ściągać płaszcz, ubranie i buty. Gdy rozebrali go już do bielizny, starszy złoczyńca zdjął z siebie stare, podarte ubranie i ubrał się w ubranie Kamińskiego, poczem, grożąc Kamińskiemu śmiercią, oddalił się, aby zobaczyć, czy niema kogo na szosie. Kamiński, korzystając ze sposobności, począł w samej bieliźnie uciekać. Złoczyńcy puścili się za nim w pogoń, ale im umknął i nie zatrzymał się aż na posterunku policji. Tu policjanci zajęli się biednym chłopakiem, a za opryszkami rozpoczęto śledztwo.

**Cuda „światoho otcia Elji".** W poprzednim numerze „Roli" pisaliśmy o fanatyzmie ludności z okolic Grabowszczyzny, gdzie to przed cerkwią, wybudowaną przez Eljasza Klimowicza, zwanego „światoj otiec Elja", chciano ukrzyżować starca. Do cerkwi tej i nadal pielgrzymki nie ustają. Przychodzą tam tłumnie pątnicy przeważnie z Kresów i Polesia, przynosząc Klimowiczowi liczne dary. Po przyjściu na miejsce pątnicy padają na ziemię, całują ślady stóp Klimowicza, zbierają do woreczków piasek i ziemię, po której stąpał, wydzierają skrawki i nitki z jego obszarpanego ubrania, ale Klimowicz ma sobie za co coraz to nowe ubrania kupować, bo dary składane mu, pomimo kryzysu, są liczne i obfite. Klimowicz zgarnia tak dużo pieniędzy, że ich, jako niezbyt tęgi w rachunkach, sam zliczyć nie umie. Liczy mu je od czasu do czasu specjalista Krynek, który za każdy przyjazd do Grabowszczyzny otrzymuje od Klimowicza po 100 złotych. O „cudach" rozpowiadają ludzie cuda. A oto jeden z nich. Pewnego razu z Polesia przybył do Grabowszczyzny wieśniak z okropne oszpeconą twarzą. Klimowicz, zajęty czemś, nie zwracał na niego uwagi. Kiedy wieśniak ów zwrócił się do niego dość gwałtownie, Klimowicz odwrócił się nagle, a zobaczywszy odrażającą twarz, splunął z obrzydzeniem. Przerażony takiem niespodziewanem przyjęciem wieśniak zemdlał. Ledwie go ocucono. Po miesiącu przyszedł zdrów, dziękując na klęczkach Klimowiczowi za wyleczenie. Głosi on teraz, że ślina „światoho otcia Elji" uleczyła go. Lekarze natomiast stwierdzają, że chory odzyskał zdrowie wskutek nadzwyczaj silnego wstrząsu nerwowego. Ale ktoby tam wierzył lekarzom!

**Trąd na Litwie.** Gazety litewskie donoszą, iż w Kownie wydarzył się wypadek trądu. Chorego na trąd przewieziono do specjalnego szpitala. Wiadomość o wypadku trądu w Kownie wywołała wśród ludności panikę. Rząd, aby uspokoić ludzi, zaprzeczył, jakoby ktoś zachorował na trąd. Mimo to gazety twierdzą dalej, że na Litwie zachorowało więcej ludzi na trąd.

**Hotel za 100 złotych... bez kupca.** W kąpielisku morskiem Henkenhagen na Pomorzu pruskiem został wystawiony na licytację Dom zdrojowy, piękny budynek jednopiętrowy, przyczem cena wywoławcza wynosiła 50 marek niemieckich (około 100 złotych). Ale nawet za tę sumę nie znalazł się nabywca. Widocznie obawiano się późniejszych podatków. W najbliższych dniach odbędzie się ponowna licytacja.

**Miłość to piękna rzecz.** W osadzie fabrycznej niedaleko Londynu odbył się ślub dwojga ludzi w bardzo podeszłym wieku, gdyż on liczy 80 lat życia, a ona zaczęła 72 wiosnę. Nazywają się John i Poly Black. Kochali się przedtem lat pięćdziesiąt. A było to tak: Przed 50 laty dwaj bracia John i James Black zakochali się w uroczej panience imieniem Poly. Obaj ją kochali i ona kochała obydwóch. Tak jej byli miłymi, że nie wiedziała, którego z nich wybrać. Bracia kochali się również

i nie chcieli sami decydować. Zamierzali pozostawić wybór panience, ale przyszli do przekonania, że ona, nie chcąc zasmucać jednego, nie wybierze drugiego. Po długiej rozmowie postanowili czekać dotąd, póki jeden z nich nie umrze, a wówczas pozostały przy życiu ożeni się z umiłowaną dziewczyną. Oznajmili to ukochanej, a ta zgodziła się na ich propozycję, a nietylko to, ale zamieszkała przy nich, jako ich gospodyni. Zarządzała ich domem, a obaj bracia kochali ją niewygasłem uczuciem. A ona kochała ich. Przez 50 lat trwała ta miłość, aż wreszcie umarł James. John poprowadził Poly przed ołtarz i poślubił ją po 50 latach miłości. Miłość to piękna rzecz!

**Nowy rząd francuski.** Po kilkudniowem przesileniu został we Francji utworzony nowy rząd, na którego czele stanął Józef Paul Boncour. O ile można przypuszczać, jest to tylko zmiana osób na stanowiskach ministrów, wobec czego prawdopodobnie tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej nic się nie zmieni.

**Trup skrępowany sznurami.** Na wielkiej fermie Chauvet pod Paryżem pracowało wielu najemników rolnych. Byli wśród nich i Polacy, zamieszkujący jedną izdebkę. Nazywali się Kosterski i Koszela. Pewnego dnia rozeszła się na fermie wiadomość, że Kosterski zniknął w tajemniczy sposób. Rano wyszedł na robotę i więcej nie powrócił. W parę dni potem Koszela oświadczył, że przenosi się gdzieindziej i wyprowadził się, zabierając ze sobą swoje rzeczy, oraz rzeczy Kosterskiego. Nazajutrz po wyniesieniu się Koszeli zrobiono na fermie potworne odkrycie. W rowie, położonym o 300 metrów od Chauvet znaleziono przysypane ziemią zwłoki Kosterskiego. Głowę miał obwiązaną workiem i skrępowaną sznurami. Ciało już się rozkładało. Widocznie zamordowano go już w dniu, w którym tak tajemniczo zniknął. Wszystko świadczyło przeciw Koszeli. Aresztowano go. Ale w śledztwie zaczęły wychodzić na jaw rozmaite szczegóły, które zachwiały znacznie tą pewnością. Koszela nie przyznał się do zbrodni. Stwierdził, że Kosterski był jego ukochanym szwagrem i na widok zwłok rozpłakał się rzewnie. Ale o wiele ważniejszy był fakt, że w szeregu dowodów winy Koszeli zaczęły się wkradać niedokładności i nielogiczności. Towarzysz Koszeli i Kosterskiego, również Polak, zeznał, że w godzinie, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpiła zbrodnia. Koszela był w swej izdebce. Pozatem zabójca Kosterskiego musiał być silnym mężczyzną, gdyż ślady wskazywały na przenoszenie zwłok przez wysoki mur, oraz noszenie ich na przestrzeni 300 metrów. Koszela zaś jest wątły i słaby fizycznie, nie mógłby tego dokonać bez obcej pomocy. Wiara więc w winę Koszeli została zachwianą, ale dotychczas właściwego mordercy nie znaleziono.

**Nowy kat Francji.** Kat francuski, Deibler, przechodzi obecnie na emeryturę, gdyż liczy 72 lata wieku. Ściął on w ciągu swojego życia 258 głów, a ostatnia była głowa mordercy prezydenta Francji, Gorgułowa. Posada kata we Francji jest dziedziczna i rodzina Deiblera zajmowała ją przez 100 lat. Ponieważ Deibler nie ma syna, więc odziedziczy ją po teściu jego zięć, Andre Oprecht, z zawodu elektrotechnik.

**Olbrzymia katastrofa w czasie lotu.** W pobliżu twierdzy Appia we Włoszech wydarzyła się wielka katastrofa. W czasie lotu ćwiczebnego samolotu bojowego z nieustalonej dotychczas przyczyny oberwał się z samolotu cały magazyn, zawierający bomby. Bomby, upadłszy na ziemię, eksplodowały, wzniecając pożar w wielkim magazynie z rakietami świetlnemi, w którym pracowało właśnie kilku robotników. Pożar rozszerzał się z wielką szybkością i ogarnął cały budynek. Trzech robotników znalazło śmierć w płomieniach, kilku innych odniosło cięższe i lżejsze rany. Pożar przy pomocy licznych oddziałów wojskowych zdołano z trudem opanować.

**Szczur zabójcą człowieka.** W niewielkim miasteczku Georgstadt, nad granicą saską, obywatel tamtejszy Stolle, zajęty był porządkowaniem w stajni, przyczem natrafił na kilka gniazd szczurów. Chcąc je doszczętnie wytępić, a obawiając się, by który z nich nie umknął, Stolle zamknął szczelnie drzwi, prowadzące do stajni, sam zaś rozpoczął pościg za szczurami.



W krótkim czasie wymordował wszystkie, z wyjątkiem jednego, olbrzymiej wielkości, który zawsze umiał uniknąć grożącej mu śmierci. W pewnej chwili szczur, ze straszliwym piskiem, podskoczył ku twarzy swego prześladowcy i wbił mu się zębami w policzek. Stolle, pod wpływem dotkliwego bolu, nie mogąc oderwać od swej twarzy jadowitego zwierzęcia, rzucił się na ziemię. Wtedy szczur ponownie zaatakował swego wroga i to w tak straszny sposób, iż wygryzł mu oba oczy, odgryzł nos i pogryzł gardło. Kiedy nareszcie z podwórza, na krzyk napadniętego, nadbiegła pomoc, wyważyła zamknięte od wnętrza drzwi, znalazła Stollego w takim stani, iż niema nadziei utrzymania go przy życiu.

**Olbrzymi pożar w Tokio.** W jednym z 8-piętrowych domów w centrum Tokio, stolicy Japonji, mieszczącym w sobie wielki sklep wszelkiego gatunku towarów, wybuchł nagle pożar, rozszerzając się z taką szaloną szybkością, że zanim zdołano zaalarmować straż pożarną, cały gmach był już w płomieniach. W chwili wybuchu pożaru w budynku znajdowało się 1.300 sprzedawców obojga płci i mniej więcej drugie tyle kupujących. W krótkim czasie wszystkie dojścia na wyższe piętra zostały odcięte tak, ze kilkuset osobom nie można było wcale przyjść z pomocą. Pożar ugaszono dopiero po 4 godzinach. Ciężko poparzonych zostało 130 osób, w płomieniach straciło życie, według pogłosek, 300 osób.

**W towarzystwie na tamten świat.** Harry Schmidt, zamożny kawaler w Minneapolis w Ameryce Północnej, postanowił odebrać sobie życie, ale nie chciał sam schodzić z tego świata. Ponieważ za życia lubił towarzystwo, więc też pragnął, aby i na tamten świat udać się w gronie przyjaciół. W tym celu zaprosił do siebie dziewięciu najserdeczniejszych przyjaciół i wyprawił dla nich ucztę. Nalał 10 kieliszków likieru i zmusił swych towarzyszy do wypicia go jednym haustem. W niespełna kwandrans potem wszyscy uczestnicy zaczęli się wić w okropnych boleściach. Rozległy się rozpaczliwe jęki. Gdy służba wbiegła do pokoju, zastała już tylko 10 trupów. Harry odszedł na tamten świat w towarzystwie swych przyjaciół.

---

**Wszystkich P. T. Czytelników prosimy o jednanie nam nowych prenumeratorów.**

# RZECZY CIEKAWE.

**Woda, w której nie można utonąć.**

W jednym ze Stanów Zjednoczonych Ameryki — mianowicie w stanie Utah, jest wielkie jezioro zwane Słonem, którego obszar wynosi 500 kilometrów kwadratowych. Nazwa jego pochodzi stąd, że woda w nim jest wielce słona. Ilość składników mineralnych w jeziorze jest tak znaczna, że człowiek nie potrafi się w wodzie w żaden sposób zanurzyć. Wszyscy ludzie, kąpiący się w tym jeziorze, pływają na wodzie jak korki. Sama sól tworzy prawie czwartą część wody i stąd woda jest znakomitym środkiem leczniczym.

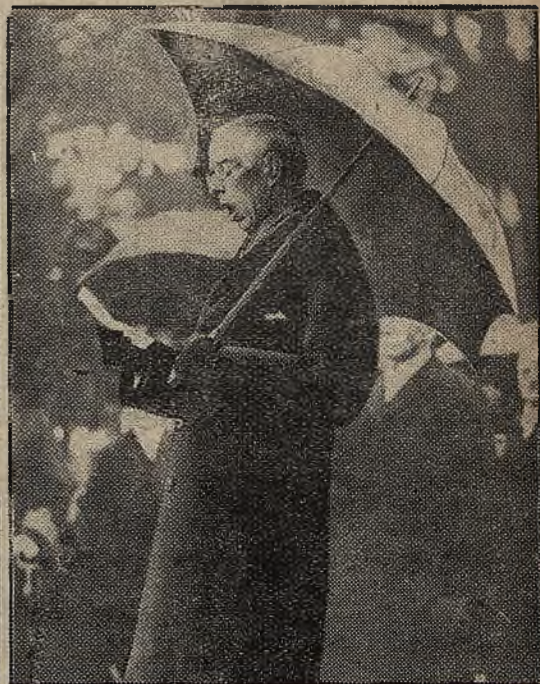
**W którym kraju jest najwięcej lekarzy.**

Belgijskie T-wo lekarskie wydało niedawno zestawienie ilości lekarzy, praktykujących w różnych krajach. Jak się okazuje, Stany Zjednoczone liczą 93.000 lekarzy, Niemcy — 49.000, Anglja — 41.800, Francja — 26.200, Hiszpanja — 23.000. Przeciętna liczba pacjentów, którzy przewijają się w ciągu roku przez gabinet lekarza wynosi: w Austrji — 837 osób, w Hiszpanji — 1000, w Kanadzie — 1.060, w Anglji — 1.069, na Węgrzech — 1.100, w Szwajcarji — 1.140, w Grecji — 1.160, w Niemczech — 1.237, w Stanach Zjedn. — 1.326, w Danji — 1.346, w Belgji — 1.460, we Francji — 1.569, w Szwecji — 2.660, w Jugosławji — 3.450 osób.

**Jubileusz królewski.**

W grudniu bieżącego roku król szwedzki Gustaw V obchodził jubileusz dwudziestopięcioletniego swego panowania. Za jego rządów Szwecja nietylko nie zawikłała się w żaden zatarg wojenny z swoimi sęsiadami, ale wzmogła się na siłach, powiększając swój dobrobyt. Na naszym obrazku widzimy po lewej stronie króla Gustawa V w uroczystym stroju, po prawej jednego z dygnitarzy, który z powodu deszczu pod parasolem wygłasza przemówienie do króla w czasie uroczystości jubileuszowych.





**Rozbrajanie się Monaco.**

Jednem z najmniejszych państewek na świecie jest księstwo Monaco. Ale i ono posiadało dotychczas swą armię wojenną. Nie bardzo groźną, bo liczącą zaledwie 250 ludzi. — Ogólno światowy kryzys nie pozwala jednak księstwu Monaco na utrzymanie i tej miniaturowej armji. Wskutek tego postanowiono ją rozpuścić. Na obrazku naszym widzimy właśnie jeden z takich oddziałów tej »armji« w pochodzie na zamek książęcy przed swem rozbrojeniem się. Dzień ten ochodzono w państwie Monaco uroczyście.



**Najmniejsza łódź podwodna.**

Są wielkie olbrzymy morskie, przewyższające swemi rozmiarami niejeden z wielkich gmachów lą-



dowych. Są również tak zwane łodzie podwodne, które mogą w sobie pomieścić załogę, składającą się z kilkudziesięciu osób. Im statek większy, tem większe może oddać usługi tak w czasie wojny, jak i podczas pokoju.

Ale to ludzi niezadowala. Pewien wynalazca amerykański zbudował sobie łódź podwodną, w której może się pomieścić tylko jeden człowiek. Pierwsza próba zanurzenia się pod wody oceanu powiodła się znakomicie, czy dalsze będą również zadawalające, niewiadomo. Taką lilipucią łódź podwodną widzimy na powyższym obrazku.

**ODPOWIEDZI REDAKCJI.**

**Na konkurs „Roli"** otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Zemsta trupa", „Nad Mississippi", „W bolszewickim raju", „Wierny słowu i za grobem", „Pogrzeb wódki", „Legenda na konkurs", „Dziewczę z cmentarza", „Chłopska oszczędność", „Ocalona". — **Stanisław Jucha w M.:** Nadesłana przez Pana a opowiedziana przez p. Zofję W. gadka góralska jest zbyt znana, więc jej nie wydrukujemy. — **Jan Wojnar** w M. G.: Rozwiązanie z Nru 49 „Roli" nadeszło spóźnione. — **Bezrobotny ze Śląska:** Nie możemy na wszystkie korespondencje odpowiadać zbyt obszernie, gdyż zajęłoby to zbyt dużo miejsca, a zwłaszcza wówczas, gdy ktoś pisze do nas głupstwa, jak to uczynił ów „Ślązak", o którym Pan wspomina. Jeżeliśmy mu odpowiedzieli, że w innych krajach większa bieda, aniżeli w Polsce, to uczyniliśmy to na podstawie faktów, a przedewszystkiem na podstawie opowiadań ludzi, którzy byli zagranicą i wszystko na własne oczy widzieli. — **Władysław Pocięgiel** w K.: Wystarczy tylko ogólne znaczenie. — **E. P.** w M.: Nadesłana nam broszurka wyszła już blisko rok temu, więc trudno dopiero obecnie podawać o niej recenzje. To jedno, a powtóre choć jest to zbiór utworów, napisanych z wielkim talentem, ale treść ich jako zbyt fachowa nie może zainteresować szerszego ogółu, więc specjalne reklamowanie jej uważamy za niewskazane. Za nadsyłane nam artykuły, niestety, nawet najmniejszego honorarjum płacić nie możemy. Nie rozumiemy też życzenia, aby wpisać Pana w poczet bezpłatnych prenumeratorów. Takich prenumeratorów niema żadne wydawnictwo, bo prenumerator znaczy po polsku przedpłaciciel, a kto nie wpłaca prenumeraty, prenumeratorem zwać się nie może.

# Zagadki do nagrody.

## 1. Trójkąt magiczny.

(Ułożył Piotr Bibro z M).



Znaczenie wyrazów: 1) Wyraz szukany. 2) Miasto w Polsce. 3) Miasto w Polsce. 4) Rzeka w Polsce. 5) Imię męskie. 6) Drzewo. 7) Przyimek. 8) Samogłoska.

W kratki wstawić litery tak, aby pierwszy rząd pionowy i poziomy dał nazwisko poety polskiego.

## 2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz G. z J.).

I.

Wstecz pierwsza z drugą literą drugiej
Da nazwę rzeki wielkiej i długiej,
Wstecz drugiej, wraz z drugą pierwszej
Szukaj we większym kościele; [śmiele,
Z całości się wściekają
Ci, co ich tak nazywają.

II.

Pierwsze wraz z trzeciem znana to roślina.
Która nam miłość boską przypomina,
Drugie zaś z trzeciem miłe jest dla ucha,
Przyjemność temu sprawi, kto go pilnie [słucha,
Wszystko bywa na ziemi udziałem czło- [wieka,
Wszędzie go też dogoni, choć przed nim [ucieka.

III.

Pierwsza, pół drugiej to obca rzeka, wiel- [ka, daleka.
Drugie pół drugiej znaczy działanie,
A także, a jakże za liczbę stanie;
Całości trzeba szukać na ścianie.

## 3. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz G. z J.).

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| | u | p | i | | Ulubieniec. |
| | a | m | k | | Zamknięcie. |
| | z | d | a | | Dawna rasa mongol. |
| | a | n | o | | Miasto. |
| | k | c | y | | Działanie. |

W miejsce pustych kratek wstawić litery tak, aby pierwszy rząd dał nazwę powieściopisarza polskiego, a ostatni tytuł jego dzieła.

## 4. Bilet wizytowy.

(Ułożył Józef Białek z Rz.).

O. JAN MIRSZ

Z podanych liter ułożyć zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli": 1. Szarady: I. Stopień, II. Marynata, 2. Logogryf Tygodnik „Rola", 3. Uzupełnianka: Raczki, granat, parada, Eufrat, Madera, 4. Bilet wizytowy: Architekt.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Teofil Burman z K., Kazimiera Miętusówna z Ca., Władysław Pocięgiel z K., Stefanja Kisilewicz z Z., Feliks Popielarczyk z S., Jan Gara z W., Jan Wojnar z M. G.

Nagrody otrzymają pp.: Jan Wojnar z M. G. i Stefanja Kisilewicz z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

### Odpowiedź Kuby.

Pan inspektor zwiedza szkołę, a nauczyciel przy nim egzaminuje dzieci surowo i pomiędzy innemi pyta też Kubę:

— Ile mamy dni w roku?

Ale Kuba milczy.

Widać groźną minę nauczyciela, pan inspektor chce tego pouczyć, jak się to dziecko ośmiela, i zadaje z uśmiechniętą miną Kubie to samo pytanie. Kuba jednakże znowu milczy.

Pan inspektor chce przeprowadzić swoje i powiada:

— Mój chłopcze, nie powinieneś na to uważać, że ja tu stoję; wystaw sobie, że tu niema mnie, ani pana nauczyciela, a twój sąsiad Antek, pyta się: powiedz mi też Kuba ile mamy dni w roku? cobyś ty na to Antkowi powiedział?

— Po krótkim namyśle odpowiada Kuba:

— Co tobie, ośle, do tego!

### Mosiek przed komisją poborową.

Mosiek Bąbelas staje przed wojskową komisją poborową. Nie pomogło ani to, że tydzień nie jadł, ani że udawał ślepego, głuchego, chorego na wszystkie choroby, o jakich tylko słyszał. Lekarz wojskowy był nieubłagany. Wysłuchał z uśmiechem wszystkiego, co mu Mosiek opowiadał i rzekł głośno:

— Zdolny!

— Panie major — zwraca się zmęczony Mosiek do przewodniczącego komisji — poco mnie panowie biorą do tego wojska, przecie teraz niema wojny?

— No, widzisz, ale może być!

— Oj, a jakby była wojna, to co ja będę robił?

— Będziesz zabijał nieprzyjaciół, przecie ty jesteś odważny — mówi przewodniczący.

— A ile ja mam zabić tych nieprzyjaciół?

— Ile będziesz mógł, pięciu... dziewięciu.

— Oj, panie major, to ja już wolę, niech panowie ich przyprowadzą tutaj, to ja ich już zabiję, ale poco ja mam tam za niemi chodzić na tę wojnę...



### Nawzajem.

L e k a r z: Nie, panie, pan nie jest chory! To tylko udawanie! Niech pan wmówi sobie, że nie jest pan chory — a będzie pan zdrów, jak ryba.

P a c j e n t: Dobrze, panie doktorze. A niech pan doktór wmówi sobie, że zapłaciłem już za wizytę — a nie będzie pan potrzebował przysyłać mi rachunku.



### Giełda płodów rolniczych

z dnia 26 grudnia b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica | 24·50—25·00 | Słoma długa | 5·50—6·00 |
| Żyto . | 16·25—16·75 | Ziemniaki stoł. | 0·00—0·00 |
| Owies . . | 12·50—14·00 | Koniczyna na- | |
| Jęczmień . | 14·50—15·00 | sienn. czer. | 000·00—000·00 |
| Fasola biała | 18·00—22·00 | Mąka żytnia | 26·75—27·25 |
| Groch zwyk. | 24·00—27·00 | Mąka pszen. | 51·00—54·00 |
| Siano słodk. | 7·50—8·00 | Otręby pszen. | 8·50—9·00 |
| Łubin żółty | 13·00—13·50 | Otręby żytnie | 8·50—9·00 |
| Koniczpastew. | 9·00—10·00 | Mąka czerw. | 12·00—13·00 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

**Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy**

w dniu 26 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 0·60 do 0·72 zł. | Jałownik | od 0·60 do 0·70 zł. |
| Woły . . | od 0·60 do 0·68 zł. | Cielęta . | od 1·00 do 1·16 zł. |
| Krowy . | od 0·55 do 0·63 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogaciznę | 1·00 do 1·20 zł. | Nierogaciznę bitej wagi | od 1·40 do 1·50 |